Nr. 119. Lwów — Piątek dnia 26 Maja. **Rok 1893.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 1.
„ przy ul. Słowackiego (obok łaz. D. ny)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Niżałowskiego Hotel Żorża.
Prenumerata z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1.10 } Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3.— } Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 25 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś: św. Filipa Ner. — Izydora Mucz.
Jutro: św. Jana Pap. — Pachomyja W.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 16
Zachód „ „ 7 „ 39

Długość dnia g. 15 m. 23
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 25 maja.

Dwie zajmujące wiadomości nadeszły z Rzymu, — jedna o rozmowie Papieża z niemieckim cesarzem, druga o rzeczywistej przyczynie ostatniego przesilenia gabinetowego. Papież wyraził podobno przekonanie, że najważniejszem zadaniem dzisiejszych czasów jest gruntowna naprawa bytu robotników, czyli sprawiedliwe załatwienie kwestyi socyalnej. Ewangelia poucza, jak się społeczeństwa powinny rządzić; daje ona odpowiedź na wszelkie zagadnienia w tej sprawie; ale żeby rządy mogły wejść na drogę reform w duchu ewangelicznym, trzeba zreformować parlamentaryzm, który się przeżył, zwyrodnił i stał szkodliwym. Posłowanie już nie jest ciężkim i ofiarnym obowiązkiem obywatelskim, lecz stało się zyskownem zajęciem, rodzajem przedsiębiorstwa. Kandydaci wyszukują wciąż nowe hasła, któremi olśniewają wyborców, aby jeno pokonać rywala o krzesło poselskie; zdobywszy je, już o tych hasłach nie myślą i myśleć nie mogą, bo znają ich niedojrzałość, albo niedorzeczność zupełną, natomiast handlują swemi głosami, sprzedają swój wpływ polityczny i tak szerzą niemoralność u góry. Ale rzucane przez nich hasła nie giną, owszem są podchwytywane przez innych amatorów posłowania, przez ludzi szukających jakiegokolwiek środka do życia, są przez nich rozwijane aż do ostatnich granic niemożliwości, zawsze w celach egoistycznych. W skutek tego w narodzie wytwarza się ciągły niepokój, ciągła gorączka, która trawi społeczeństwa i jest powodem ustawicznych przeróbek, nieobmyślonych i niedojrzałych, często zgoła niepotrzebnych i szkodliwych. Tysiące przeróżnych kwestyi przynosi niemal każdy dzień, bo co tylko istnieje niewyzyskanego, to chwytają ambitni ludzie, rozdymają do wielkiego znaczenia i robią z tego chorągiewkę wyborczą dla siebie. Społeczeństwa podzieliły się na mnóstwo nieprzyjaźnych kółek, a w nich agitacya nie ustaje, wytwarzając sztucznie niechęć, poderzliwość, w końcu nienawiść tam, gdzie dawniej zawsze panowała zgoda i wspólność interesów. To wszystko ani trochę nie poprawiło stosunków społecznych, tylko podrażnienie jest coraz większe i gorycz niezaspokojonych pragnień, obudzonych pięknemi hasłami, zatruwa charaktery narodów. Nadeszły nareszcie czasy bardzo trudne, bo parlamentaryzm nic naprawdę nie zrobił pomnikowego i zrobić nie mógł, gdyż jest sam zmienny jak fala, a tymczasem życie nie stało i wytworzyło nowe formy, nowe warunki pracy, które domagają się innego prawodawstwa, innych podstaw. Więc przedewszystkiem usunąć trzeba to, co podnieca do tworzenia haseł, do wyszukiwania koników agitacyjnych. Państwa powinny się przeistoczyć w organizmy autonomiczne, wolność i samodzielność gmin i powiatów powinna być dostateczna i zagwarantowana silnie, ale parlamentaryzm teraźniejszy, ogarniający horyzonty tak wielkie, że ich objąć gruntownie nie może zwykły wyborca, powinien być zmieniony. Wtedy dopiero rządy centralne, wspólnie z radami powiatowemi i gminnemi, zdołają przeprowadzić rozsądne, rzeczywiście potrzebne i trafne reformy społeczne na korzyść pracującego ludu i sprawiedliwych stosunków ekonomicznych, które nie mogą być jednakowe w całem państwie, bo nie są jednakowe wszędzie warunki pracy, klimatu, nie są jednakowe upodobania, obyczaje, sposoby i koszta życia.— Cesarz niemiecki zupełnie się zgodził z Papieżem, ale rzekł z uśmiechem: „Niestety, zapóźno już walczyć z parlamentaryzmem. Żaden rząd nie odważy się na to, bo każdy jest coraz słabszy właśnie w skutek parlamentaryzmu. To jest potwór, który zjada państwa. Same narody powinny z nim skończyć, a zatem nie od rządu, lecz od narodu, t. j. z dołu powinna wyjść silna i wyraźna inicyatywa.“— Potem Papież zmieniając przedmiot rozmowy, poruszył stosunek Apostolskiej Stolicy do trójprzymierza i tu rzekł, iż błędnie przypisują Papieżowi jakąś wyjątkową skłonność do Francyi, gdyż on pragnie gorąco powszechnego pokoju, a wszędzie dba tylko o spokój i ład społeczny, oparty o religijne zasady.

Przesilenie gabinetowe, o którem przedwczoraj wspomnieliśmy pobieżnie na podstawie pierwszych wiadomości, przedstawia się cokolwiek inaczej w swoich przyczynach, niż podaliśmy przedwczoraj. Kiedy dyskutowano nad budżetem sprawiedliwości paragraf po paragrafie i nad każdą pozycyą głosowano podniesieniem rąk, natenczas wszystkie paragrafy były przyjęte. Zdawało się tedy, że budżet sprawiedliwości przeszedł szczęśliwie przez ogień parlamentarny, więc ministrowie w liczbie dziewięciu, razem z podsekretarzami stanu, udali się do senatu, a w izbie deputowanych przystąpiono do ogólnego głosowania gałkami nad całym budżetem sprawiedliwości. I tu właśnie dano czarnych gałek 138, a białych 133, więc pięciu głosami odrzucono budżet, choć przedtem przyjęto go w dyskusyi nad każdą pozycyą z osobna. Oczywiście nie był to przypadek. Zabrakło głosów ministrów i ich podsekretarzy i oto rząd znalazł się w mniejszości. A jednak właściwie budżet sprawiedliwości był przyjęty, zaś na drugi dzień wniosek Giolitti'ego, aby dyskusya budżetowa trwała dalej, choć gabinet podał się do dymisyi, utrzymał się ogromną większością, co dowodzi, że parlament nie chce zmiany gabinetu. Cóż tedy znaczy to dziwne odrzucenie budżetu sprawiedliwości? Czy deputowani nie mieli odwagi odrazu przeciwko niemu wystąpić i dlatego przy każdym paragrafie podnosili ręce, a dopiero potem, tajnie, gałkami wyrazili swą prawdziwą wolę? Takie przypuszczenie ubliża deputowanym, więc znaleziono i podano w prasie inne wytłómaczenie. Oto, parlament nic nie ma przeciw budżetowi, ale nie chce widzieć pana Bonacci'ego ministrem sprawiedliwości; nie chce zaś dlatego, że ten pan swoimi wyznaniowymi projektami, ułożonymi w duchu nieboszczyka Mazzini'ego, którego jest zięciem, łatwo mógł wywołać w kraju burzę walki religijnej. Zwłaszcza jego projekt ustawy o ślubach cywilnych, znany naszym czytelnikom, a najbardziej bezwyznaniowy ze wszystkich, jakie dotąd gdziekolwiek wykomponowano, uznano za bardzo niebezpieczny, jakim też jest w istocie. Dość przypomnieć, że podług tego projektu śluby cywilne miały być wolne od wszelkich opłat stemplowych, natomiast za kościelne miano płacić państwu, gminie i parafii; dalej, ktoby wziął tylko ślub kościelny, ten musiałby zapłacić grzywnę do trzech tysięcy lir; grzywnę do 300-tu lir mieli płacić świadkowie i kapłan, a nadto wszystko dzieci z takiego małżeństwa byłyby uznawane za nielegalne, niemające prawa ani do nazwiska ojca, ani do jego majątku. Tymczasem ze ślubu cywilnego płynęłyby wszystkie te dobrodziejstwa. Otóż ten masoński pomysł bardzo nie podobał się ludowi, który począł się irytować. Aby tedy zepchnąć tę sprawę z porządku, postarano się o to, żeby Bonacci podał się do dymisyi i dlatego dano mu wotum nieufności. Świadczy to o pewnym zwrocie ku religijnym zasadom w sferach włoskich, dotąd najbardziej zarażonych masoństwem. Oby to był początek stałego objawu!

Panslawistyczny „Błagotworytielny“ komitet obchodził wczoraj swój 25-letni jubileusz. Nie wiemy jeszcze, jak wypadło to święto szowinistów i intrygantów rosyjskich, tworzących tak zwaną „nieurzędową Rosyę“, lecz oto tak powitali je dwaj najrozumniejsi publicyści w caracie, panowie profesor Pypin i były dyplomata Tatiszczew: Pierwszy z nich w *Wiestniku Jewropy* pisze:

„Dość już Rosya przelała krwi, dość mienia oddała na rzecz sprawy słowiańskiej. Czas się obejrzeć i poszukać zysków tej ofiarności. Czy są jakie ekonomiczne? Żadnych! Więc może są polityczne? Ano, tak małe, jak zdobycz ostatniej wojny z Turcyą. Lecz zapewne osiągnęliśmy coś pod względem cywilizacyjnym, może się rozpowszechniła nasza idea?... Istnieje wprawdzie w Rosyi panslawizm, t. j. właściwie istnieją ludzie, którzy go wyznają, a prasa zachodnio-europejska patrzy na nich z pewną trwogą, lecz w rzeczywistości nie są oni liczni, ani zręczni. Rosya nie może objąć słowiańszczyzny. Takie dążenie, taka myśl jest tylko mrzonką. Naprzykład na Polaków wpływamy, zdaje się, co się zowie dosadnie, a jednak są oni zaciętymi wrogami starosłowiańskiej, panrosyjskiej cywilizacyi. Prawdę powiedziawszy, zapał innych narodów słowiańskich dla panrosyanizmu jest tylko sztucznie podtrzymywany. Te narody o tyle jeno pamiętają o Rosyi, o ile potrzebują straszyć nią swoich nieprzyjaciół, Niemców i Turków. O zlaniu się z rosyjską kulturą, z rosyjskiem życiem narodowem nie myślą ani Czesi, ani Serbowie i Kroaci. Więc powinniśmy dbać tylko o siebie...“ i t. d.

Tatiszczew pisze w *Russkim Wiestniku*: „To jest prawdą, której my jedni nie widzimy, że Stambułów, jako rzecznik interesów swej ojczyzny, ma za sobą cały naród bułgarski. Tylko nasza dyplomacya nie umie ocenić tego męża stanu, jak nie rozumie Bułgaryi i jej rządu. Nam się ciągle zdaje, że duchowieństwo i naród bułgarski stoi po naszej stronie i boleje nad zmianą konstytucyi, a ta zmiana wydaje prawosławie katolicyzmowi. Tymczasem to zupełne zaślepienie. Ani duchowieństwo bułgarskie, ani naród wcale nie myśli opierać się zmianie konstytucyi, owszem chce tej zmiany, bo doskonale rozumie jej ważne polityczne znaczenie dla niepodległości kraju, a wybornie wie, że prawosławiu nic nie grozi. Idzie tu tylko o obronę od panslawizmu. Czas już, abyśmy o tem wiedzieli“.

Co do nas, jesteśmy pewni, że dla rosyjskiego rządu i dla komitetu „Błagotworytielnego“ nie ma nic nowego w tem, co mówią obaj ci panowie. Urzędowa i nieurzędowa Rosya przecie najlepiej wiedzą, że nic innego, tylko przypływ albo odpływ „wędrującego rubla“ rozwija lub przygłusza wybuchy panslawistycznej gorączki w niektórych krajach słowiańskich. Zatem te sfery bardzo trzeźwo patrzą na motywa ruchu panslawistycznego i nie karmią się baśniami bezinteresownej miłości caratu, ale wiedzą, co robią, — wiedzą, że w ten sposób szkodzą Austryi i tamują rozwój ludów bałkańskich, a sobie przygotowują zabory. O to im tylko idzie, więc teraz chętnie płacą, a potem, jeśli się uda, tych samych „bratuszków“, deklamujących o panslawizmie, popędzą na Sybir, jako hołotę szkodliwą dla caryzmu, bo wyćwiczoną w agitowaniu.

Od kilku dni obiega pogłoska, że polscy członkowie delegacyi wspólnych poruszyć mają na jednem z posiedzeń delegacyi sprawę Morskiego Oka. Pogłoska ta jednak jest tak niedorzeczną, że mogła wyjść chyba ze sfer, które najmniejszego pojęcia nie mają o ustawach zasadniczych, na których opiera się system państwowy Austro-Węgier. Bo jakiż praktyczny cel mogłoby mieć takie wystąpienie naszych posłów? Oto trzej ministrowie odpowiedzialni są przed delegacyami i zdają im rachunek ze swych czynności: minister spraw zagranicznych hr. Kalnoky, wspólny minister finansów p. Kallay i wspólny minister wojny br. Bauer. Do któregoż z nich zatem możnaby wnieść interpelacyę? który mógłby dać jakiekolwiek wyjaśnienie w tej sprawie? Hr. Kalnoky odpowie: to do mnie nie należy, bo przecież sprawa ta nie dotyczy ani Anglii, ani Niemiec ani Rosyi lub Bułgaryi, — a Węgry nie są w obec Austryi mocarstwem zagranicznem w tem znaczeniu, co tamte. P. Kallay odpowie: „Do mnie udajcie się w sprawach odnoszących się do wspólnych finansów, do spłaty długu wspólnego obu połów monarchii, wreszcie w sprawach odnoszących się do Bośnii i Hercogowiny, gdyż mnie powierzoną została polityczna administracya tych krajów, cóż jednak może mnie obchodzić spór graniczny między Galicyą a Węgrami“? Do ministra wojny wreszcie chyba nikt nie zwróciłby się z jakiemś zapytaniem, bo przecież tu nie idzie ani o karabiny, ani o zaprowiantowanie armii. Więc do kogoż, pytamy jeszcze raz, zwróciliby się nasi delegaci? W sporze tym tylko dwa ministerstwa, zarówno austryackie jak i węgierskie, w obecnem stadyum mają prawo głos zabierać, t. j. w pierwszym rzędzie ministerstwo sprawiedliwości a następnie ministerstwo spraw wewnętrznych. Te jednak odpowiedzialne są tylko przed swojem ciałem prawodawczem, t. j. przed austryacką radą państwa i przed sejmem węgierskim, a jeszcze nikt nie słyszał od czasu jak istnieją delegacye, aby który z ministrów sprawiedliwości, lub spraw wewnętrznych przed niemi zdawał sprawę ze swych czynności. Przecież delegacye nie są żadną instancyą wyższą nad Radą państwa, lub nad sejmem węgierskim, lecz instytucyą odrębną, po cóż więc narażać się na śmieszność i wywodzić przed nią żale w sprawie, w której ona nic nam pomódz nie może. Sejm nasz powziął tak rozumną uchwałę w tej sprawie, że ani nie pojmujemy, po co szukać jeszcze innych dróg, które do celu nie doprowadzą. Przecież deputacya sejmu, złożona z mężów, przed którymi każdy czoła ugiąć musi, uda się do Cesarza i przedstawi Mu naszą krzywdę — innych dróg nam szukać nie potrzeba.

Otwarcie wystawy w Chicago.

Pan Stefan Barszczewski w następujących słowach opisuje otwarcie wystawy czykegowskiej:

Chicago 1 maja.

„Godzina siódma rano. Wyglądam przez okno. Niebo pochmurne, na ulicy błoto, a lekki deszczyk, u nas kapuśniaczkiem zwany, mży, mży bez końca.

Od miesiąca prawie ulewy, śniegi i wichry dokuczają, jak na złość, miastu, a nigdy może nie pragnęło ono pogody tak, jak obecnie. Dzisiaj szczególnie powinno słońce wesoło świecić, dziś bowiem obchodzi Chicago uroczystość otwarcia kolumbijskiej wystawy wszechświatowej.

Uroczystość ta ma zacząć się o godzinie dziesiątej, spieszę się więc, gdyż do placu daleko, a nie chciałbym stracić nic z widowiska.

Gubernator stanu uznał dzień dzisiejszy świątecznym, wszystkie więc biura rządowe, banki i większość sklepów pozamykano. Na błotnistych, mgłą okrytych ulicach ludu pełno. W tramwajach trudno o miejsce. Z okien i dachów ciężko powiewają przemoczone deszczem różnokolorowe flagi i draperye.

Im więcej zbliżam się do środka miasta, tem tłumy większe. Dążą one w jednym kierunku: ku brzegom jeziora. Tam bowiem, z końca ulicy Van Buren, od dziś kursować zaczynają specyalne pociągi i parowce bezpośrednio do wrót wystawy.

Wsiadam do pociągu. Wagony przepełnione. Ruszamy. W przeciągu 15 minut przebywamy osiem mil angielskich. Stajemy przy 62-giej ulicy. Sto kroków od ogrodzenia wystawy. Sto kroków — przestrzeń niewielka, tłum jednak zastanawia się nad jej przebyciem. Żółte, rzadkie błoto wcale nie zachęca. Lecz trudna rada! Zakasawszy inexprimable, jazda naprzód! Pierwsza przeszkoda ominięta.

Przy turnikietach ścisk i wrzaski. Urzędnicy wystawowi nie mogą nadążyć z odbieraniem biletów. Myślałem, że tylko u nas istnieje zwyczaj pchania się bez potrzeby. Tymczasem i Amerykanie nie grzeszą cierpliwością.

Jestem na placu wystawy. Zdawałoby się, że zarząd, spodziewając się tłumów, uporządkuje przynajmniej drogi. Gdzietam! I tutaj błota po kostki. Publiczność zbiera więc porozrzucane wszędzie deski od pak i rusztowań i układa sobie kładki.

Przynajmniej wzdłuż gmachu ogrodnictwa droga ubita. Można stąpać śmiało. Ołowiane niebiosa odbijają się w ciemnych wodach stawów. Na wyspach poczerniałe od deszczu drzewa smutno wyciągają w górę zupełnie jeszcze nagie gałęzie. Gdzieniegdzie zieleni się murawa.

Przed nami migoce złocista kopuła gmachu administracyi. Tam jest punkt zborny, więc tam dążymy. Minąwszy gmachy elektryczności i górnictwa, jesteśmy nareszcie u celu. Ogromny plac jest szary od ludu, który ławą kieruje się ku wschodniej jego stronie, gdzie — oparta o ścianę gmachu administracyi — piętrzy się wielka trybuna dla prezydenta, ministrów, ciała dyplomatycznego, zaproszonych gości i orkiestry złożonej z 300 muzyków.

Nikt już nie uważa na deski, stosy gruzu i haniebne błoto. Każdy chciałby stanąć jak najbliżej wystającej z trybun estrady, na której ma zająć miejsce prezydent z ministrami. Na estradzie tej, oprócz szeregu foteli, stoi jeszcze stół nakryty flagą Stanów Zjednoczonych, na nim zaś niewielki postumencik, obity pluszem amarantowym i niebieskim, z umieszczoną u szczytu błyszczącą maszynką. Jestto guzik elektryczny, którego naciśnięcie ma puścić w ruch maszyny i zwiastować urzędowe otwarcie wystawy.

Prędko napełnia się plac, tak iż łokieć z łokciem, ciało z ciałem się styka. Zewsząd sterczy morze kapeluszy i parasoli. Nawet na dachach i gzymsach budynków sąsiednich czernieją całe szeregi i grupy ciekawych. Powoli i trybuny zapełniają się cylindrami, barwnemi toaletami dam i jaskrawemi mundurami przedstawicieli państw zagranicznych. Ogólną wesołość wywołuje ukazanie się deputacyi Korejczyków, ustrojonych w czarno-żółto-czerwone jedwabne szaty i wysokie, spiczaste, ceratowe kapelusze o wielkich rondach, sterczące na czubkach głów okrytych czarnemi myckami.

Ciemne chmury rozstępują się stopniowo. Blade promienie słońca ciekawie spoglądają na ziemię. Parasole kryją się wśród tłumów, na trybunach błyskają złote galony, kaski i szable, lśnią pióropusze i kwiaty. Twarze pań rozpogadzają się razem z niebiosami.

Godzina jedenasta. Z orkiestry umieszczonej daleko, u szczytu trybun, dolatują dźwięki strojonych instrumentów. Nagle wszczyna się ruch niezwykły. Z wejścia, urządzonego pośrodku, wynurza się cały szereg ichmościów w cylindrach i ciemnych ubraniach. Ogromny okrzyk tłumów zabrzmiał w powietrzu, kapelusze i chustki zakołysały się ponad głowami. Grover Cleveland, popularny prezydent Stanów Zjednoczonych, otoczony ministrami i zarządem wystawy, zbliżył się ku swojemu miejscu.

Stałem o jakie dziesięć kroków od estrady, na której zasiadł. Mogłem więc dobrze przypatrzyć się panu „executive“; tak bowiem Amerykanie nazywają prezydenta.

Niewielkiego wzrostu, otyły, o łysej ale kształtnej głowie, małych niebieskich oczach i niewielkich siwych wąsach, nader miłe sprawia wrażenie. Pomimo uśmiechu ciągle około ust krążącego, znać w rysach energię i stanowczość.

Ledwie że zasiadł na fotelu, okrzyki tłumu powitały nową grupę. Byłto książę de Veragua, potomek Kolumba, gość rządu Stanów Zjednoczonych, otoczony rodziną i świtą.

Uczeni powiadają, że ludzkość karłowacieje. Spoglądając na potomka wielkiego odkrywcy Ameryki, można uwierzyć temu.

Grand hiszpański! Według naszego pojęcia, to coś wspaniałego, dumnego. Tymczasem książę, to mała, niepozorna, nawet komiczna figurka: Niewielkie — zdaje się, że farbowane — blond faworyty, u nas „kotlecikami“ zwane, gładko wygolone wargi i broda, usta ku dołowi zsunięte, nos zakrzywiony, niewyraźne oczy, czupryna w górę podczesana, kadłub drobny; oto wszystko.

Za to strój wspaniały. Złocisty mundur admirała hiszpańskiego, niebieskobiała wstęga przez ramię, błyszczące gwiazdy na piersiach, szpada o złotej rękojeści u boku, galonowany pieróg ze strusiemi piórami na głowie.

Prezydent powstaje na przyjęcie gościa. Ująwszy go za rękę, sadza obok siebie. Za nimi miejsca zajmują: brat księcia markiz de Barboles, syn Don Cristobal Colon y Aquilera, obaj także umundurowani, księżna z córką, pani Palmer dyrektorka wystawy pracy kobiet, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Stevenson, jeneralny dyrektor wystawy Davis, gubernator stanu Illinois Altgeld, burmistrz miasta Chicago Harrison i inni.

Na dany znak orkiestra intonuje „Wielki marsz kolumbijski“, skomponowany umyślnie na otwarcie wystawy przez tutejszego kompozytora Jana K. Paine.

Wszyscy słuchają z zajęciem doskonałego wykonania tego wspaniałego dzieła. Zaledwie ostatni akord muzyki ucichł w powietrzu, zbliża się do kraju estrady, prowadzony przez dwóch panów, ociemniały starzec, czarno ubrany, o białych jak śnieg włosach, wąsach i brodzie. Jestto Rev. W. H. Milburn, kapłan prezbyteryański. W mowie trochę przydługiej uprasza on Nie-

---

3)

MĘTY

OPOWIADANIE

przez

Anielę Korngutównę.

(Ciąg dalszy).

— Pana nazwać zerem nie można — odpowiedziała, gdy jej przerwał poprzedniemi słowy — masz pan egzamin farmaceuty, gdy zechcesz, możesz pracować; brak panu podniety do pracy, a chwilowa bezczynność nie może jeszcze być dostatecznym powodem, aby pana potępić. Sam nie zechcesz pan być na łasce ojca; bo czyż może istnieć dla człowieka większa radość, jak wywalczyć sobie samoistne stanowisko? Mężczyzna powinien się wstydzić, jeśli mogąc zapracować na siebie, żyje z łaski ojca, pozwalając mu, aby opłacał za niego szewca, krawca i t. d. Ja kobietą jestem, a dążę do samoistnego bytu. „Praco! żelaznem nas dźwignij ramieniem!“ — zadeklamowała i urwała nagle...

Lecz mówiła to wszystko z prostotą, a nie z miną sawantki, potem zaśmiała się wesoło i pobiegła do kuchni, bo na nią przypadła w tym tygodniu kolej przyrządzania obiadów.

Zostałam sama z Adolfem, ale mówiliśmy z sobą niewiele, on zdawał się być roztargnionym; we mnie odzywał się pewien żal, zmięszany z zazdrością.

— Dlaczego, jakiem prawem — myślałam w duszy — Helenka mogła tak mówić do Adolfa! A on dlaczego milczał?

Czy potrafiła mu zaimponować?

Gdy Adolf odjechał, wyraziłam jej me zdziwienie.

— Trzeba wiedzieć, jak mówić z takimi ludźmi — odparła. — Zamiast schlebiać mu, wypowiadać nagą prawdę. Znasz sztukę Szekspira: „Poskromienie złośnicy“? — dodała. — Otóż ja ci powiadam, że podobnie, jak Petruchio zrobił z Katarzyny kobietę uległą i łagodną, można Adolfa wykierować na bardzo znośnego człowieka.

— Podjęłabyś się więc tej misyi? — spytałam nie bez ironii.

— Tego dzisiaj powiedzieć nie mogę; takie rzeczy potrzebują namysłu.

— Prawda! Masz wygórowane pojęcia o miłości i małżeństwie.

— O miłości i ideałach — przerwała mi.

— Mówiłaś o poddaniu się tylko sile wyższej, inteligentniejszej.

— Mogę mieć takie zasady! Lecz ponieważ żaden człowiek a tem mniej kobieta, nie może ukształtować swego życia według własnej woli, wiedzieć więc nie mogę, czy, jeśli kiedy wyjdę za mąż, pan mój będzie posiadał wszystkie cechy wyższego nad poziom umysłu.

— Zkąd nabrałaś tyle rozsądku? Zimno się robi, słuchając ciebie. Jesteś nawskróś prozaiczną istotą, mimo, że pozujesz niekiedy na sentymentalną marzycielkę.

— O, jeśli marzę — zaśmiała się — to o tem, jakiemi będą kobiety w XX wieku.

— Pewnie bardzo podobne do ciebie.

— Chciałabym! Lecz słuchaj, nie rób takiej miny potępiającej mnie. Ty powinnaś wiedzieć, że to moja zewnętrzna powłoka; w głębi duszy może płaczę nad tem, że dzisiejsze wychowanie tak nas ogałaca z tej wiary dziecinnej, a pięknej, z tej poezyi, która stanowiła cudowny urok kobiety.

Rozmowa ta utkwiła mi dobrze w pamięci i kiedy w kilka dni później otrzymałam list od Adolfa, że od przyszłego miesiąca obejmuje posadę prowizora w jednej z aptek na prowincyi, coś już na kształt prawdziwej zazdrości owładnęło moją duszę.

Podałam list ten Helence, by go przeczytała, a sama zatopiona niby w wytłaczaniu stampilii, skrycie śledziłam wyraz jej twarzy.

Odbiło się na niej pewne przyjemne zdziwienie.

— Powinnaś być dumną — rzuciłam jakby od niechcenia.

— Z czego? — spytała z naiwną minką.

— Jeśli wpłynęłaś na tę naturę...

— Sądzisz? Jam zupełnie innego zdania... i o ile znam świat i ludzi, mogę przypuścić, że sprawa ta, to jest zamiar Adolfa wstąpić do apteki, była już długo przed naszą rozmową omawianą, roztrząsaną i że do decyzyi brakowało mało, bardzo mało. Być zatem może, iż słowa moje zostały w czasie stosownym wypowiedziane, w chwili, kiedy umysł tego człowieka, leniwy, wyczekiwał czegoś, coby go pchnęło naprzód; być może, że słowa te wpłynęły po części na ostateczne jego postanowienie. Przypadek, traf, nic więcej! Czyś zazdrosna? — dodała wesoło.

— Może!

— Żartujesz! — powiedziała z przymileniem. — Ty go nie kochasz, wmawiasz w siebie to uczucie; wątpię nawet, czy głowa twoja, nie mówię już o sercu, w tem uczuciu odgrywa jaką rolę.

— Może potrafisz mi go wyfilozofować!

Upłynęło kilka dni; Adolf był jeszcze raz u mnie z pożegnaniem i obiecał pisywać.

Dotrzymał słowa, a co mnie przyjemnie zdziwiło: listy jego były lepiej stylizowane jak jego ustne rozmowy. Helenka dopisywała zwykle do moich odpowiedzi słowo pozdrowienia, a chwilowe błyski zazdrości pierzchały w mem sercu pod wrażeniem jego listów.

Wprawdzie nie było w nich mowy o miłości, ani nie kazały się one domyślać tęsknoty kochającego serca; mnie jednak wystarczało, że pisuje, że pamięta i że myśli o mnie.

Minęły trzy miesiące, na pozór nic się nie zmieniło. Od siostry otrzymywałam listy krótkie, w których nie poruszała już kwestyi zamążpójścia, ani nie wspominała o panu Karolu. Odpisywałam jej, tąsamą mierząc miarką, i tak czas mijał.

Nudy rozpędzał siostrzeniec księdza proboszcza, ekspedytor pocztowy, bawiący tu w braku posady; spierałyśmy się żartem o niego, czy przychodzi na pocztę dla mnie, czy dla Helenki.

Rozstrzygnął o tem wyjazd Helenki, która skończywszy praktykę, chciała zdać egzamin. Zdała go dobrze i szczęśliwym trafem zaraz otrzymała posadę ekspedytorki pocztowej.

Zostałam znowu sama ze słabą nadzieją towarzystwa pana ekspedytora. Dotrzymywał mi go jednak wiernie, a nawet zanosiło się na konkury.

Winszował mi już Adolf tej partyi, bo mu pewnie ktoś o tem doniósł, a i Helenka prześladowała mnie nim ciągle.

Nie traciłam jednak humoru, żyjąc z dnia na dzień, jakby dzień następny miał mi przynieść to, czego pragnęłam.

Czy nawet wiem, jakie to były pragnienia? Nigdy nie przedstawiały mi się one w stale powtarzającym się obrazie.

A przecież... tak... sama nie wiem... chciałam dobrej poczty, a gdy sobie wyobrażałam, że ją dostanę — wątpiłam, czy wyszłabym za Adolfa, gdyby mi się naturalnie oświadczył. Innym razem, zdawało mi się, że tylko z nim mogę być szczęśliwą.

(Dokończenie nastąpi).

biosa o błogosławieństwo dla wspaniałego dzieła wystawy. Niektóre tylko zdania dolatują do uszu osób bliżej stojących, to też publiczność niecierpliwi się. Nareszcie mowa skończona. Starzec cofa się, natomiast występuje młoda, dosyć przystojna blondynka, ubrana w czarną atlasową suknię i hiszpańską koronkową mantylkę. Z programu dowiaduję się, że to panna Jennie Couthony.

Rozwija ona kilka arkuszy papieru i podobno deklamuje sążnistą odę na cześć Kolumba, napisaną przez prof. W. A. Croffut. Mówię „podobno", gdyż literalnie nikt jej nie słyszy. Publiczność nie może wytrzymać.

— *Set down!* (siadaj).

— *Enough!* (dosyć).

— *Grover, Grover!* (imię prezydenta) — odzywają się głosy. To też deklamatorka płoni się i prędko kończy.

— Aa! — wyrywa się z ust tłumu.

Orkiestra gra uwerturę z opery Wagnera „Rienzi"; gdy skończyła, powstaje jeneralny dyrektor wystawy Davis.

W obszernej mowie, skierowanej głównie do prezydenta, zaznacza on wysiłki czynione dla doprowadzenia wystawy do skutku, dobrą wolę i ofiarność obywateli Stanów Zjednoczonych i rządów całego świata, wreszcie dziękuje wszystkim za przyczynienie się do uświetnienia tego dzieła.

I jego mowa słyszaną jest, i to tylko urywkami, zaledwie przez najbliżej stojące osoby. Tłumy, zmęczone kilkogodzinnem staniem, krzyczą na dobre.

— Siadać! — *Grover, Grover!* krzyczą setki.

— *Grover*, przyciśnij że guzik! odzywa się jakiś głos tubalny.

Wszyscy w śmiech. Pan Davis siada. Prezydent Stanów Zjednoczonych zbliża się do stołu.

Krzykom, oklaskom, świstom (także oznaka zadowolenia) nie ma końca.

— Uciszcie się, Grower mówi! — wołają jedni.

— *Hurrah!* — drą się inni.

Wreszcie powoli, powoli zapał stygnie. Tłumy murem stoją. Prezydent przychodzi do słowa. Silny, dźwięczny, energiczny głos jego rozlega się daleko. Każdy wyraz słychać tak wyraźnie, jak w zamkniętym pokoju.

„Przybyłem tutaj — rzekł — by przyjąć udział w waszej radości, współobywatele. Otoczony zadziwiającymi rezultatami amerykańskiej przedsiębiorczości i energii, dowodami amerykańskiej inteligencyi — nie potrzebuję obawiać się, by radość ta była przesadzoną. Stoimy dziś wobec przedstawicieli najstarszych narodów świata, nie mamy jednak potrzeby prosić o pobłażanie dla naszej młodości...

„Zbudowaliśmy te wspaniałe gmachy, zbudowaliśmy jednak także rząd popularny, którego siłę uznaje świat cały. Stworzyliśmy dzieła użyteczne i piękne, stworzyliśmy jednak także ludzi, którzy umieją rządzić się sami..."

Nareszcie, wskazując na postumencik przed nim stojący, tak kończy swą mowę:

„Jedno dotknięcie tej maszynki powoła do życia wielką wystawę, niech jednocześnie rozbudzi ono w aspiracyach naszych taką siłę, by wpływ jej na dobrobyt, godność i wolność ludzkości — dał się czuć po wszystkie czasy!"

Następuje cisza. Prezydent naciska guzik. W jednej chwili odzywa się świst maszyn, wszystkie flagi rozwijają się na budynkach i słupach, łodzie i gondole zaczynają krążyć po stawach, z kanonierki stojącej na jeziorze grzmią salwy armatnie, orkiestra intonuje hymn narodowy, a stutysięczna pierś tłumu wydaje okrzyk radości.

Wystawa otwarta!

Plac i trybuny opróżniają się zwolna. Łatwo było przyjść tutaj, wycofać się jednak trudno. Ścisk okropny. Jedni drugich unoszą poprostu. Piski kobiet i dzieci, przekleństwa i wrzaski rozlegają się ze stron wszystkich. Niekiedy fale ludu rozpłynęły się po alejach i budynkach. Plac opustoszał. Istne pobojowisko! Wśród błota strzępy setki kaloszy, porozrywanych płaszczy gumowe, parasole, torby z jedzeniem, kapelusze...

Prezydent i świta zajmują miejsca w łodziach elektrycznych i idą spacerem po stawach, witani wszędzie okrzykami. Każdy chce ich widzieć, szczególniej jednak kobiety. Biegną one wzdłuż brzegów, wymachując chustkami, tłoczą się rozgorączkowane.

Idę oglądać budynki. Śmiało przebywam kałuże, belki, szyny i gruzy, pocieszając się myślą, że nic na świecie bez trudu się nie zdobywa. Na każdym jednak kroku rozczarowywam się coraz bardziej. Prawie wszędzie wita mnie napis: *Closed!* (zamknięte).

Gdzie go nie ma, gdzie wrota uchylone, tam wchodzę. Cóż jednak z tego! Wszędzie robotnicy, paki, rusztowania. Może zaledwie jaka setna część okazów uporządkowana. Nie sposób zdać sobie sprawę w tym chaosie! Więc zły wychodzę. Idę dalej... Trud jednak próżny. Wiele budynków nawet nie wykończono. Trzy czwarte ze zupełnych miejsca, jedna czwarta może za tydzień będzie gotową. Restauracye tylko i kawiarnie stanęły do apelu.

Choć niemało publiczności z nich korzysta, większość praktycznych rodzin porozkładała się na schodach, balustradach, kamieniach, spożywając dary Boże z domu przyniesione.

Widok ten apetytu mi dodaje. Nie ma co robić. Zmęczony 4-godzinnem chodzeniem i fatalnie zabłocony, zdążam do stacyi kolejowej, siadam do wagonu i ruszam nareszcie z powrotem do miasta".

Projekty na pomnik Kościuszki.

Konkurs rzeźbiarski na pomnik Kościuszki w Chicago przedstawia się tak skromnie, że gdyby nie był nam dawany dla naszego rzeźbiarstwa, to byłby to widok wcale niewesoły; tak jednak nie jest, bo do konkursu stanęli przeważnie tylko nasi miejscowi artyści. Całość konkursu pod względem pomysłów robi dość monotonne wrażenie, nie ma tu tych zasadniczych różnic, które wystąpić powinny; trudno się z tem [illegible]. Nie chcemy z tego jednak robić zarzutu naszym rzeźbiarzom, główną bowiem winą w tym wypadku ponosi komitet, który zawsze [illegible] warunki. Warunkami były: figura Kościuszki w amerykańskim mundurze na koniu; u dołu dwie płaskorzeźby; w obec tego nie można się było spodziewać rozmaitości.

Z projektów wyróżniającym się pod każdym względem jest projekt z godłem „Niepodległość" prof. Marconiego. Uderza nas tutaj, jak również w projekcie z godłem „Libertas equalitas" p. Barącza, brak równowagi między częścią figuralną a podstawą pomnika. U prof. Marconiego część figuralna jest znacznie lepsza od podstawy.

Kościuszko, w zarzuconym malowniczo na plecach płaszczu, pędzi przez plac boju. Granat widocznie pękł gdzieś w pobliżu, bo koń się naraz żachnął i głowę silnie w tył przechylił. Rzecz w ten sposób pojęta daje wielką rozmaitość linii i robi dobre wrażenie. Prof. Marconi pokonał w swoim projekcie jedną wielką i niesłychanie ważną w pomniku trudność, t. j. grę linii. U niego figura z koniem daje z każdej strony nienużącą, nie monotonną, ale bardzo pięknie załamującą się linię. Bardzo szczęśliwym jest pomysł zwrócenia głowy Kościuszki w bok, szczegół ten jest nową rozmaitością i sprawia, że projekt daje nam jak najwięcej strony frontowej, skąd się pomnik ogląda, a jak najmniej tylnej.

Całość robi wrażenie monumentalności, jest skomponowana z siłą i powagą. W wykonaniu widać wprawną rękę artysty obznajomionego dobrze z anatomią konia, artysty, który również dobrze odczuwa siedzącego na koniu człowieka, drapującą się materyę, płaszcz wiatrem rwany i t. d.

Słabszą częścią, jak już wyżej powiedzieliśmy, jest podstawa. Nie daje już ona tego załamywania, tej giętkości linii, jak część figuralna pomnika. Płaskorzeźby, z których jedna przedstawia bitwę pod Racławicami, a druga jakąś amerykańską batalię, są również słabsze, zachowanym jest tutaj jednak dobry stosunek wielkości między płaskorzeźbą a całością.

W projekcie, oznaczonym godłem „Libertas equalitas" p. Barącza, lepszą częścią jest podstawa, jak Kościuszko na koniu. Jest ona trzymana w jakimś przejściowym stylu z renesansu do baroka. Sama dla siebie, jest dobrą w proporcyach i daje piękne harmonijne zagięcie się linii; dla tego projektu jest jednak za wysoka. Płaskorzeźby przedstawiające „Bitwę pod Racławicami" i „Spotkanie Kościuszki z Waszyngtonem", są tutaj lepsze, aniżeli w projekcie prof. Marconiego, to jest, są lepiej skomponowane jako obrazy, jednak naszem zdaniem są za małe. Jeżeli projekt powiększymy pięć razy, jest on bowiem piątą częścią naturalnej wielkości, to okaże się, że nawet z bardzo niewielkiej odległości nie będzie można na płaskorzeźbach odróżnić akcyi.

Najsłabszą częścią jest tutaj sam Kościuszko na koniu.

Całość tak się przedstawia: ciężki perszeron trochę przysiadł na tylnych nogach, przednie, rozstawione dość szeroko, jak druty wypręży przed sobą, jak gdyby się uparł ani kroku więcej nie zrobić. Na siodle rozparł się, w tył się przechylił silnie zbudowany człowiek w mundurze jenerała z XVIII wieku, w okrągłym kapeluszu z szerokiemi kryzami i z piórem. Lewą ręką trzyma on cugle, w prawej ma sztandar. Po co ten sztandar, kiedy w Ameryce Kościuszko nie był chorążym sprawy tamecznego ludu? Był jednym z jenerałów Waszyngtona, a dopiero w Polsce chorążym narodowej sprawy. Więc tu mu wznieść pomnik ze sztandarem, ale nie w Chicago, gdzie niech sobie będzie w kapeluszu z szerokiemi kryzami i strusiem piórem. Kościuszko siedzi na koniu okazale, taki dumny, pyszny i zadowolniony z siebie, jak żeby patrzył z wysokości na tłumy, rzucające mu kwiaty pod nogi, i mówił w duchu: „To mi się należy". Patrząc nań, myśleliśmy: „Może to Maurycy Saski, może Wellington, niech zresztą Napoleon I, ale nie skromny ideał poświęcenia, Kościuszko! „Chorągiew nie pomaga pomnikowi w liniach. P. Barącz projektując pomnik w rozmiarze dwa razy większym aniżeli to było podane w warunkach konkursu, zrobił sobie krzywdę, bo wykazał nam już tutaj te ujemne strony, które jeszcze silniej wystąpią na pomniku naturalnej wielkości. Patrząc bowiem z dołu, przekonujemy się, że pomnik jest właściwie tylko z jednego boku widzialny, a z wszystkich innych stron zasłania go to ręka podniesiona, to chorągiew, to koński łeb i rozczochrana grzywa.

Linią, łączącą nasze oko z głową Kościuszki, są tutaj wyciągnięte jak na prawidle spodnie bohatera, po których wzrok już to biegnie do góry, już to spływa na dół. Patrząc z tyłu, widzimy tylko ogromny koński zad, kapelusz i chorągiew, a uderza nas tylko wielki ogon, który na to w lewą nogę wrasta, aby z niej później rozstrzępionym buńczukiem wyrosnąć. Całość jest traktowana rubasznie, bez szerokiej precyzyi i nie daje tak pięknej rozmaitości linii, jak projekt prof. Marconiego. Ten koń z rozpartemi szeroko nożyskami, zdający się mówić: „Za górę sieczki z tej wysokości nie skoczę!" jest niesmacznie skomponowany i szyję ma konika szachowego.

W wydawaniu naszej opinii o wartości projektów nie trzymamy się zupełnie myśli podsuwanej członkom jury, że prof. Marconi konia swego skopiował z pomnika Chmielnickiego w Kijowie, a p. Barącz z portretu konnego jenerała Prima przez Reniolta; to nas nie obchodzi, bo obie prace silnie odbiegają od swoich wrzekomych pierwowzorów, a wreszcie tyle się już w świecie namalowało i narzeźbiło, że właściwie bardzo łatwo jest mimowolnie trafić na motyw przez kogoś innego już obrabiany; zresztą pomnik oglądać będą tysiące ludzi, wymagających od niego artystycznych zalet, a tylko może dziesiątki takich, którzy wrzekome pierwowzory widzieli.

Najwięcej jednolitości w skomponowaniu całego projektu przedstawia praca oznaczona godłem: „dwie hemisfery" p. Bełtowskiego. Jest to rzecz talentu, tylko cokolwiek za pobieżna w kompozycyi, mało jędrna i monumentalna. W liniach tak część figuralna jak i podstawa są dość dobre, ustępują jednak pod tym względem projektowi prof. Marconiego. Ruch figury i konia jest zanadto „flot." Ten Kościuszko, który na nas tutaj robi takie wrażenie, że się przypomina wiersz: „hej ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze!", nie charakteryzuje również jak u p. Barącza tego, co charakteryzować powinien. Właściwie jest to nie Kościuszko, ale kuryer wodza naczelnego, pędzący i biorący przeszkody nagromadzone z armat i chorągwi z wprawą i lekkością, jakiejby mu mógł angielski starter pozazdrościć. Jak powiedzieliśmy, jest to rzecz z talentem, który się tutaj w tej jednolitości projektu, w śmiałem rzuceniu pomysłu ujawnia, całość jednak nadaje się prędzej na jakąś bardzo piękną ozdobę kominkową, aniżeli na pomnik poważny o wielkich rozmiarach. Projekt oznaczony godłem „Zielona gałązka wolności" p. Tadeusza Wiśniowieckiego, jest znacznie gorszym od wyżej wymienionych. Pominąwszy, że tak w części figuralnej jak i w podstawie, która swoją formą sarkofag przypomina, nie ma tych artystycznych motywów, uzyskanych drogą długich i sumiennych studyów, które zajmują i przykuwają widza, pominąwszy, że ta całość robi w skutek tego wrażenie roboty dyletanckiej, niewłaściwym jest ten pomysł włożenia Kościuszce oliwnej gałązki wolności do ręki.

Jeśli tylko ta poetyczna i natchniona nić, łącząca ową gałązkę oliwną wolności u góry z porwanemi kajdanami niewoli u dołu, ma być jedyną zaletą, jedynem pięknem pomnika, to go nic ma wcale.

Kiedy Canova rzeźbił grobowiec arcyksiężny Chrystyny, znajdujący się w kościele Augustynów w Wiedniu, to nie kładł całej potęgi swojego uczucia w klepsydry, urny, rozbite liry, w cały ten aparat symbolizmu, ale skrystalizował go w ruchach figur, w wyrazie twarzy, i z jakąś nadzwyczajną siłą zmusił widza do odbierania przynajmniej części tych wrażeń, jakich sam doznawał, tworząc ten grobowiec. Symbolika może wtajemniczonym w ten język wyjaśniać niektóre szczegóły, ale nie jest ona artyzmem, który uwydatnić się nam może tylko w wykonaniu figur.

Pomysł p. Wiśniowieckiego mógł być dobrym, gdyby był zastosowany jako motyw na piedestalu, lub jako godło projektu, ale niefortunnym jest w tem jego obecnem zastosowaniu. Człowiekowi, który nie rozumie symbolicznych liter i który nie będzie mógł zdać sobie odrazu z nich sprawy, śmiesznym się wyda ten jenerał, przejeżdżający kłusem przez swój własny grobowiec z chabinką w ręku. Płaskorzeźby są ledwie znaczone i to dość licho.

W projekcie oznaczonym godłem „Kto z Bogiem, Bóg z nim", najpiękniejszą i najmoralniejszą częścią jest właśnie to godło.

Są jeszcze trzy projekty, pierwszy z godłem „Obecnie", drugi „Jeszcze nie zginęła" i trzeci „W. D." Te jednak znacznie są słabsze od opisanych wyżej. *Jan Zawadzki.*

Kolonizacya drugiego stopnia.

Pod takim tytułem przynosi ostatni numer *Przeglądu emigracyjnego* dłuższy artykuł, nawołujący do skupienia się wychodźców polskich w Ameryce w jedno wielkie ognisko i utworzenie w ten sposób polskiego stanu w Unji, a jako środek do osiągnięcia tego celu podaje organizacyę wewnętrznej emigracyi w Ameryce czyli t. zw. kolonizacyę drugiego stopnia. Różnica pomiędzy kolonjami drugiego a kolonjami pierwszego stopnia polega na tem, że kolonje drugiego stopnia wychodzą z łona społeczeństw młodych, rozwijających się dopiero, kolonje pierwszego stopnia natomiast wyszły z łona narodu, posiadającego ustalone już cechy kulturno-społeczne i wybitne znamiona historyczne.

Walka z przyrodą, zmiana otoczenia, odległość od kraju, możność prędszego dojścia do dobrobytu, wyrabiają samodzielność, energję i zamiłowanie do pracy, a wiadomem jest powszechnie, że nawet krótki i chwilowy pobyt w kolonjach zmienia korzystnie charakter naszego ludu. Wychodźcy, powracający z zarobku ze Stanów Zjednoczonych, stają się pilniejszymi, trzeźwiejszymi i moralniejszymi niż byli dawniej. Nie można się więc zupełnie dziwić wskutek tego, że kolonje drugiego stopnia, złożone z jednostek z wyrobioną już energją i dzielnością, spotęgowaną przez powtórną walkę o byt, daleko lepiej się rozwijają niż kolonje pierwszego stopnia i szybko wzrastają w dzielne społeczeństwa. Jako przykład posłużyć mogą kolonje fenickie, wyszłe z Kartaginy, wychodźcy szkoccy z Ulsteru w Irlandyi, boerowie holenderscy, którzy wyparci z Natalu utworzyli kwitnącą rzeczpospolitę Orańską, dalej orańczycy, założyciele rzeczypospolitej transwalskiej w południowej Afryce i t. d.

Klasycznym krajem kolonizacyi drugiego stopnia są bez zaprzeczenia Stany Zjednoczone południowej Ameryki, gdzie z łona stanów wschodnich powstały stany zachodnie, cieszące się wielkim dobrobytem. Prąd ten kolonizacyjny trwa nieprzerwanie nadal ze wschodu na zachód, ze starszych kolonij powstają nowe, podobnie jak komórki organiczne, rozradzające się sposobem dzielenia. Skutkiem tej formalnej wędrówki ludów na zachód, do Kalifornji, Oregonu i t. d. zajęto najlepsze i najurodzajniejsze ziemie, leżące o tysiące mil zdala od głównych siedlisk, a wielkie przestrzenie znakomitej ziemi drugiej jakości w stanie nowojorskim, leżą odłogiem, są niezaludnione i prawie nieznane.

Prąd kolonizacyjny na zachód ogarnia również i Polaków amerykańskich. Już dzisiaj w stanach zachodnich znajdują się liczne kolonje polskie, liczące około 65.000 ludności. Nie brak też przedsiębiorców amerykańskich, którzy Polakami chcą kolonizować stany zachodnie, jak np. Kalifornię, która jednakowoż najmniej odpowiada usposobieniu i charakterowi wychodźców polskich. Zamiary kolonizacyjne spekulantów są jednakże dowodem, że polska kolonizacya w Ameryce posiada warunki powodzenia a element polski znakomitym jest w kolonizowaniu lasów dziewiczych, karczowaniu ich i w ogóle w gospodarstwie leśnem.

Te właśnie zalety żywiołu polskiego nakazują uorganizowanie świadomej celu kolonizacyi drugiego stopnia i skierowanie prądu emigracyjnego w takie miejsca, w których ludność polska miałaby wszelkie warunki swobodnego rozwoju narodowego. Dzisiejsza kolonizacya przypadkowa rozdrabia żywioł polski, przyczynia się do wynarodowienia i jest nadzwyczaj szkodliwą dla narodowości polskiej.

Trzy są główne czynniki kolonizacyi a mianowicie praca, ziemia i kapitał; od szczęśliwej kombinacyi tych trzech czynników zależy powodzenie czynności kolonizacyjnej. Co do pierwszego t. j. pracy, to obecnie liczba Polaków amerykańskich dochodzi do dwóch milionów, a są wszelkie dane, iż za lat dziesięć liczba ta się podwoi. Ziemi jest poddostatkiem, gdyż Stany Zjednoczone, zwłaszcza zachodnie, posiadają olbrzymie niezaludnione przestrzenie, na których jeszcze kilkanaście milionów ludzi pomieścić się może, a kapitały dla zorganizowania polskiej kolonizacyi drugiego stopnia z łatwością się znajdą, gdyż nawet obcy kapitaliści do takiego przedsiębiorstwa, nie przedstawiającego prawie żadnego ryzyka, chętnie przystąpią, choć pożądanem byłoby, aby zaangażowane były głównie kapitały krajowe lub polsko-amerykańskie.

Rozpoczęcie na szeroką skalę polityki kolonizacyjnej w Stanach Zjednoczonych stać się może epoką w dziejach emigracyi a trzeba tylko zwrócić głównie uwagę na jednolitość akcyi, skierować działalność na jeden teren. Najodpowiedniejszym ku temu byłby stan Waszyngton, który na przestrzeni 181.291 □ mil liczy zaledwie 350.000 mieszkańców a posiada klimat umiarkowany, zbliżony do polskiego i ziemię urodzajną. Kraj jest w znacznej części górzysty i lasami pokryty a produkuje żelazo, węgiel kamienny, złoto, srebro itd. Ludność zajmuje się prócz tego rolnictwem, rybołówstwem i handlem drzewem. Stan ten ma przed sobą wielką przyszłość.

Myśl ta nie może zrazić najzaciętszych nawet wrogów i przeciwników wszelkiej działalności kolonizacyjnej u nas, gdyż akcya ta nie ma na celu popierania emigracyi ze starego kraju, lecz jedynie racyonalną kolonizacyę już w Ameryce osiadłych Polaków. Myśl ta jest realnym wymogiem chwili obecnej i koniecznym wynikiem dzisiejszych ekonomicznych i społecznych warunków — a wykonanie tej myśli najbliższem zadaniem społeczeństwa.

„Rodacy nasi za oceanem — kończy *Przegląd emigracyjny* — przysłużyliby się bardzo sprawie polskiej, gdyby w smutnym roku jubileuszowym powzięli myśl założenia nad brzegami oceanu Spokojnego, tuż naprzeciw Syberyi, nowej Polski, która rozwijając się w ramach państwowych unii, pod gwiaździstym sztandarem federacyjnej, wolnej i potężnej Rzeczypospolitej, złączonej węzłem krwi i ducha z całą Polską, wspólnie z nią będzie urzeczywistniała ideały wolności i sprawiedliwości."

Czas odnowić przedpłatę. Za zmianę adresu (np. przy udawaniu się do kąpiel, lub z jakiegokolwiek innego powodu) należy z góry uiścić 20 ct.

KRONIKA.

Lwów 25 maja.

Nasz fejleton. Zaraz po 1 czerwca rozpoczniemy w fejletonie na pierwszej stronicy druk nowej powieści Hajoty pod tytułem: „Ich syn". Utwór ten jest osnuty na tle życia warstw inteligentnych Warszawy.

Mianowania. P. Ignacy Kępiński został mianowany dyrektorem oddziału rach. w Namiestnictwie lwowskiem.

Lwowski wyższy sąd krajowy zamianował praktykanta sądowego, Jana Curkowskiego, bezpłatnym auskultantem.

Przeniesienia. Ministerstwo handlu przeniosło koncepistę pocztowego dra Maryana Dawidowskiego z Wiednia do Lwowa.

Konkursa. Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie rozpisała z terminem do 6 czerwca konkurs na posadę ekspedyenta w urzędzie pocztowym w Łukowicy, w pow. limanowskim.

Wiadomości dyecezyalne. Gr. kat. archidyecezya lwowska. Prezentę na Nawaryę otrzymał ks. Strzelbicki, dotychczasowy zarządzca tej parafii. — Kanoniczną instytucyę otrzymali: ks. Roman Szeparowicz na Dobrzany i ks. Wiktor Jezierski na Połonicze. — Wikarym w Zbarażu mianowany ksiądz Teofil Kopyściański. — Zawiadowcami parafii mianowani: ks. Kornel Leontowicz w Chołojowie i ks. Włodzimierz Czepil w Lubieńcach. — Ordynaryat metropolitalny przedstawił Radzie szkolnej krajowej jako delegatów do rewizyi nowych podręczników dla nauki religii księży: Bazylego Ilnickiego, dra Józefa Lewickiego, Onufrego Łepkiego i Aleksandra Torońskiego, a stanisławowski ordynaryat ks. prałata Litwinowicza.

Zjazd koleżeński. Przypominam szan. kolegom, którzy ukończyli krakowską szkołę realną w r. 1883, iż w roku bieżącym z końcem czerwca odbędzie się umówiony zjazd koleżeński. Upraszam przeto szan. kolegów o przesłanie swoich adresów na ręce moje. O dniu zjazdu i programie tegoż zawiadomieni zostaną koledzy listownie. — *F. Ramza,* Magistrat, Kraków.

Muzyka wojskowa 80 pp. grać będzie jutro w piątek w Ogrodzie Miejskim. Początek o godzinie pół do 6-tej.

Odezwa. W obec bardzo licznych zgłoszeń o miejsca na pawilony zarówno ze strony osób prywatnych, jakoteż i instytucyi, oraz konieczności ostatecznego zatwierdzenia planu sytuacyjnego wystawy, uprasza dyrekcya wystawy wszystkich interesowanych, aby zechcieli najdalej do dnia 20 czerwca roku bież. podać dokładne rozmiary potrzebnego im miejsca i stanowczo je zamówić.

Zwraca zarazem uwagę, że plany na pawilony prywatne w myśl regulaminu wystawy muszą być przez dyrekcyę zatwierdzone i że ze względu na termin wystawy koniecznem jest, aby przeważna część robót około pawilonów prywatnych w tym jeszcze roku przeprowadzoną została.

Dworzec kolei w Chabówce okazał się za małym, aby mógł pomieścić tłoczących się w lecie podróżnych, wskutek czego dyrekcya kolei państwowych przystąpiła w r. b. do rozszerzenia stacyi. Peron zostanie przedłużony o kilkadziesiąt metrów, przybędą nowe sale poczekalne i lokal restauracyjny, wreszcie magazyny towarowe, mieszkania dla urzędników itp. Budowa ukończoną będzie w jesieni r. b.

Zamiast wieńca na trumnę ś. p. Zygmunta Sawczyńskiego złożyli na rzecz internatu św. Józafata dla kandydatów seminaryum: dr. Bogumił Bieńkowski 10 zł., dr. Fryderyk Kratter 10 zł. od siebie a 10 zł. od swej matki Elizy, za które to dary podpisany zasyła niniejszem w imieniu internatu tym dobrodziejom serdeczne „Bóg zapłać". *Ks. Zygmunt Gorazdowski.*

Rzemieślnicy a wystawa. W dniu 4 czerwca r. b. w sali radnej magistratu m. Bochni odbędzie się odczyt dra Michnika „o wystawach i ich wpływie na rozwój rękodzieł". Odczyt ten z wstępem bezpłatnym urządza komitet miejscowy powszechnej wystawy krajowej, wzywając równocześnie rękodzielników do licznego zgromadzenia się, treść prelekcyi bowiem stoi w ścisłym związku z wystawą lwowską i ma na celu zachęcenie miejscowych rzemieślników do gromadnego udziału w przyszłorocznym turnieju. Równocześnie tenże komitet z burmistrzem drem Serafińskim na czele wystosował długą, bogatą w motywy odezwę do wszystkich mieszkańców m. Bochni, jakąkolwiek produkcyą się trudniących, w której między innemi powiada: „Korzyści z wystawy na razie cyfrowo obliczyć się nie dadzą; każdy jednak zdrowo myślący przyzna, iż jak najliczniejsze wystawienie na widok publiczny przed tysiącami ludzi, owoców pracy rzemieślnika dobrych a tanich, zamanifestuje przedewszystkiem, że w kraju jest dostateczna ilość dzielnych rzemieślników, że przeto kupowanie produktów rzemieślniczych zagranicznych jest zbytecznem; publiczność kupująca będzie miała sposobność przekonać się dokładnie o tem, iż wyroby rzemieślników naszych pod względem jakości i ceny wytrzymają konkurencyę z wyrobami obcemi; przyzna wreszcie każdy, że gromadne obesłanie wystawy przez naszych krajowych rzemieślników podniesie stan rzemieślniczy pod względem moralnym i przyczyni się do naprawienia opinii tego stanu, która się w ostatnich czasach, niestety! na jego niekorzyść ukształtowała. Narzekamy na biedę, na ciężkie czasy... Wy, panowie rzemieślnicy najbardziej na nią narzekacie, opuszczacie jednak ręce i nawet walczyć nie próbujecie! Skorzystajcie więc z nadarzonej sposobności i zamiast narzekać, wezwijcie Boga na pomoc, otrząśnijcie się z gnuśnej rezygnacyi i zróbcie każdy, kto się na siłach czuje, jeden lub kilka „majstersztyków" z zakresu swego rzemiosła, a licznem obesłaniem wystawy więcej sobie korzyści przysporzycie, aniżeli narzekaniem na złe czasy! Komitet miejscowy pośredniczy pomiędzy dyrekcyą wystawy a wystawcami, udzieli nawet w swoim czasie zasługującym na to pożyczek, lub małych zapomóg na zakupno materyałów do wyrobów wystawić się mających, jednem słowem wesprze chętnych radą swoją i czynem".

Poseł Szczepanowski zgłosił pawilon własny na wystawie krajowej, w którym pomieści okazy swoich licznych zakładów górniczych i przemysłowych.

Polacy z obczyzny zgłaszają się coraz częściej do dyrekcyi wystawy z zamiarem uczestniczenia w przyszłorocznym turnieju. W tych dniach zażądał informacyi przedstawiciel znanej firmy Proux et Kondratowicz (maison Courrière w Cognacu) Firma naszego rodaka zamierza wystąpić w własnym pawilonie okazale, nie pomijając strony dekoracyjnej i posługując się odpowiednio ukostyumowanym personalem, jak się to praktykuje na zagranicznych „ekspozycyach".

Prezydentem miasta Krakowa wybrano wczoraj 32 głosami na 58 głosujących p. Józefa Friedleina, dotychczasowego wiceprezydenta. Antoni hr. Wodzicki otrzymał 19 głosów, reszta głosów była rozstrzelona.

Burmistrzem m. Brodów wybrany dotychczasowy wiceburmistrz p. Michał Kulak.

Koleje lokalne. Ministeryum handlu na podstawie projektu przedłożonego przez konsorcyum, składające się z pp. adwokata krajowego w Krakowie dra Stefana Grudzińskiego, Jakóba br. Romaszkana, Sobiesława hr. Mieroszewskiego i Stefana Zakrzeńskiego, zarządziło przeprowadzenie rewizyi trasy dla projektowanej kolei lokalnej o normalnym torze z Szeparowiec do Delatyna Rewizya trasy odbędzie się dnia 5 czerwca w Kołomyi, dnia 6 czerwca w Delatynie.

W Krynicy ordynować będzie w bieżącym sezonie oprócz lekarzy przez nas już wymienionych, także dr. Leon Gliksman, który od czterech lat już corocznie ordynuje w Krynicy.

Germanizacya. Urząd pocztowy w Olszanicy pod Złoczowem używa stampilii z napisem „Olszanica bei Złoczów".

Z prasy. W Krakowie rozpocznie w dniu 1 czerwca X. Bronisław Stysiński wydawać dwutygodnik socyalno-rzemieślniczy p. t. „Praca". Celem tego pisma będzie działanie przeciw złym zasadom socyalizmu i budzenie interesu dla spraw socyalno-robotniczych w naszem społeczeństwie.

† **Edmund Różycki,** były dowódzca powstania na Wołyniu w roku 1863, o którego śmierci donieśliśmy wczoraj, był synem pułkownika Karola Różyckiego, słynnego dowódzcy jazdy wołyńskiej. Po nieszczęśliwem zakończeniu kampanii 1831, śp. Karol Różycki musiał emigrować do Francyi, gdzie następnie stale zamieszkał i życia dokonał. Młody Edmund, na rozkaz cara Mikołaja jako syn emigranta, został przez rząd rosyjski przymusowo wysłany do Petersburga i oddany do szkół tamecznych, które go miały wychować na wiernego sługę carskiego. W tem samem położeniu znajdowała się wówczas liczna młodzież polska, zabrana przemocą do szkół rosyjskich w Petersburgu, w nadziei prędkiego jej wynarodowienia. Cel został zupełnie chybiony, a wszelkie wpływy nauki i materyalne korzyści nie zdołały odjąć młodziutkim zakładnikom ich narodowych tendencyi.

Edmund Różycki, który od dzieciństwa odznaczał się wielkiemi zdolnościami, został oddany do korpusu kadetów, a świetnie ukończywszy szkoły wojskowe, wszedł do czynnej służby w armii rosyjskiej, gdzie wówczas duch mikołajowski walczył z prądami nowożytnych reform; Różycki przydzielony do sztabu głównego, bardzo prędko awansował i doszedł do rangi pułkownika w niezwykle młodym wieku, a Aleksander II odznaczał go kilkakrotnie i powierzył mu podobnie jak Sierakowskiemu ważne i trudne prace przy reorganizacyi armii. Otwierała się przed nim najświetniejsza karyera wojskowa i najpiękniejsze widoki na przyszłość.

Gdy jednak wybuchła walka o wolność w r. 1863, śp. Różycki porzucił rosyjską służbę i jako prawy Polak stanowisko swoje i życie poniósł Ojczyźnie w ofierze. Przybywszy do Żytomierza stanął na czele oddziału powstańców, formującego się w lasach cudnowskich. Mianowany przez rząd narodowy dowódzcą jazdy wołyńskiej, zręcznie manewrując wśród przeważnych sił rosyjskich, przeprowadził Różycki swój oddział przez znaczną część Wołynia aż ku Podolowi. Dnia 24 maja 1863 otoczyli go Rosyanie pod wsią Salichą w powiecie Starokonstantynowskim; po długiej i zaciętej bitwie odparł Różycki napad, rozbił szyki rosyjskie i z całym oddziałem stanął pod granicą austryacką. Widząc jednak, że dalsza walka była niemożliwa przeszedł do Galicyi pod wsią Szczęsnówką. Odtąd mieszkał w Galicyi, pracując z całą sumiennością w krakowskiem Tow. ubezpieczeń. Był to charakter szlachetny i otwarty umysł niespolicie wykształcony, a przytem skromny. Do rzędu szlachetnych bohaterów narodu należał zmarły nietylko męstwem, lecz i miłością swoją dla nieszczęśliwej Polski i gotowością oddania w każdym momencie wszystkiego, co człowiek mieć może najdroższego, na jej pożytek i dla dobra rodaków. Jako inspektor w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń zjednał sobie gorliwą pracą poważanie zwierzchników, a cześć i miłość towarzyszy pracy. Pogrzeb ś. p. Różyckiego odbył się dziś w Krakowie staraniem dyrekcyi a kosztem Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń

Defraudacya na poczcie. Na poczcie odkryto temi dniami nader misterną defraudacyę. Jak wiadomo, pozostaje z roku na rok mnóstwo listów zwykłych i rekomendowanych, których poczta z tych lub owych powodów nie mogła adresatom doręczyć. Po pewnym czasie poczta otwiera te listy i jeżeli one nie zawierają żadnych przedmiotów wartościowych, jak np. pieniędzy, dokumentów itd., to listy te niszczy; jeżeli zaś są przedmioty wartościowe, to list czyta i skoro z treści jego dowie się kto list wysłał, to mu zwraca owe wartościowe przedmioty; jeżeli zaś nie dowie się nic zgoła, to pieniądze i wartościowe przedmioty przechodzą na rzecz skarbu.

Owóż pewien urzędnik wpadł na dowcipny pomysł wykradania pieniędzy z tych listów. W tym celu brał owe listy do domu, tam je nadzwyczaj zręcznie otwierał, aby nie zostawić żadnego znaku, pieniądze wyjmował, list znowu zapieczętował i do urzędu odnosił. I tak manipulował bardzo długo, aż wkońcu zaczęło to zwracać uwagę, że nigdy pieniędzy w tych niedoręczonych listach nie ma, pomimo że autorowie tych listów wyraźnie o nich piszą. Więc, dajmy na to, jeżeli np. pisała matka

w liście „Drogi synu, załączam Ci 20 zł.“, to w liście ani śladu tych guldenów nie było. Gdzież się one podziały? Poczęto badać, dochodzić i nabrawszy uzasadnionych podejrzeń, zrobiono nagle rewizyę u owego urzędnika. Połów był obfity. Znaleziono listy napół otwarte, całkiem otwarte, ponownie zapieczętowane po wyjęciu pieniędzy itd.

Sprawa ta jest w toku, więc na razie nie wymieniamy nazwiska tego urzędnika.

Czerwony krzyż. Onegdaj w sali ratuszowej pod przewodnictwem wiceprezesa księcia marszałka Sanguszki, a w obecności drugiej wiceprezydentki p. Namiestnikowej Maryi hr. Badeniowej odbyło się walne Zgromadzenie członków Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża. Ze sprawozdania przedłożonego zebranym dowiadujemy się, iż stowarzyszenie to w roku ubiegłym liczyło w sekcyi mężczyzn 54 członków wieczystych, 2018 zwyczajnych, 5 wspierających. W sekcyi kobiet Stowarzyszenie liczyło 11 członków wieczystych, 274 członków zwyczajnych i wspierających. Cały kapitał Stowarzyszenia mężczyzn i dam Czerwonego Krzyża dla Galicyi składa się z kwoty 78 616 złr. 20 ct. Wartość inwentarza ogólna wynosiła z końcem 1892 roku 15.935 złr. 1 ct. tak, iż majątek Stowarzyszenia z końcem roku 1892 przedstawiał wartość 94.551 złr. 21 ct. W obec epidemii cholery, która w ubiegłym roku kraj nasz nawiedziła zarząd Stowarzyszenia rozwinął energiczną działalność, wszędzie spieszył z wydatną pomocą ku stłumieniu epidemii.

Walne zgromadzenie przyjęło powyższe sprawozdanie do wiadomości i na wniosek komisyi rewizyjnej, postawiony przez p. radzcę Piżla, udzieliło wydziałowi absolutoryum za rachunki w r. 1892. W miejsce ś. p. Zygmunta Riegera wybrano do wydziału p. Edwarda Stroynowskiego zaś jako delegata do centralnego Związku w Wiedniu pana Arnolda Wernera. W końcu uchwalono odesłać w myśl statutu 30 prc. udział z dochodów Towarzystwa, t. j. sumę 1066 złr. 21½ ct. do wydziału Związku. Na tem zgromadzenie zakończyło swoje czynności

Międzynarodową bandę oszustów wykryto w Wenecyi. Przed kilku dniami w hotelu „Capello nero“ ujęty został naczelnik tej bandy, występujący pod fałszywem nazwiskiem hrabiego Maiffedy. Od roku już policya miała podejrzenie, że ten hrabia nie musi być tem, za co uchodzi. Pierwszy powód do tego przypuszczenia dała słynna kradzież popełniona zeszłego roku w czasie wystawy w Palermo w jednym z pierwszorzędnych hoteli, urządzonych z książęcym przepychem i zbytkami, w którym mniemany hrabia Maiffedy zajmował właśnie cały szereg pokoi. Nieco później widziano tajemniczego arystokratę na balu maskowym, danym przez francuską kolonię w Nizzy. Miał na sobie klejnoty uderzająco podobne do tych, które w czasie wystawy skradzione zostały w Palermo. Zauważyli to tajni ajenci policyjni i odtąd hrabiemu Maiffedy towarzyszyło stale kilkunastu przedstawicieli policyi, którzy nakoniec ujęli ptaszka w swoje ręce. Marcello Marcellino, tak bowiem oszust właściwie się nazywa, jest człowiekiem obeznanym wybornie z formami światowemi i umiejącym się podobać. Aresztowanie pełnego elegancyi i niezmiernie przystojnego cudzoziemca wywołało w Wenecyi, a osobliwie w sferach salonowych, przykre wrażenie. Przez cały czas swego pobytu w tem mieście hr. Maiffedy nie opuścił ani jednego przedstawienia „Fallstaffa“ w Teatro Fenice, znajdował się zawsze w pierwszorzędnej loży, należącej do pewnej pięknej damy, której względami się cieszył.

Równocześnie aresztowano w Rzymie jednego z towarzyszy Marcellina, przydybanego na jakiejś kieszonkowej kradzieży. To rzuciło światło na całą sprawę. W Berlinie trzeci przyjaciel fałszywego hrabiego wpadł w sieci. I ten podobnie jak Marcellino żył na wielkiej stopie. Od ubiegłego poniedziałku aresztowano ogółem siedem osób, należących do związku zorganizowanego przez Marcellina. Wszyscy operowali pomiędzy Rzymem a Medyolanem. Byli pomiędzy nimi dwaj Włosi, jeden Belg, jeden Rosyanin, jeden Amerykanin, jeden Czech i jeden Węgier. Znaleziono przy wszystkich szyfrowane korespondencye, wykazujące łączność, jaka zachodziła pomiędzy członkami bandy

Marcellino ma lat dopiero 27, ale jak świadczą papiery, które mu odebrano w czasie rewizyi; przeszłość ma za sobą niezmiernie burzliwą. Jest on synem inteligentnej i zamożnej rodziny w Neapolu, szkół nie skończył, gdyż w bardzo młodym wieku uciekł do Paryża. Kiedy wrócił do kraju, rozpoczął od tego, że okradł kogoś i za to przesiedział dwa lata w więzieniu. Potem pojechał do Rzymu i za pomocą fałszywych świadectw otrzymał posadę guwernera w domu hrabiego Buonacorsi. Z Rzymu zniknął niebawem, podróżował trochę, nakoniec założył tajną bandę oszustów, „societa della forchetta“, i od lat kilku prowadził wielkopańskie życie, przybierając coraz to inne arystokratyczne nazwisko. U kobiet cieszył się szalonem szczęściem, miał mnóstwo stosunków z damami wielkiego świata. Niedawno temu dwie rodzone siostry zakochały się w nim i nie widząc wyjścia z takiej drażliwej sytuacyi, targnęły się na swe życie. Jedna z nich umarła, druga zaledwie uszła śmierci.

Z Izby sądowej. Kadencya sądów przysięgłych rozpoczęła się w dniu wczorajszym sprawą żyda Dawida Förstera, oskarżonego o zeskamotowanie w biały dzień pani Józefie Maszkowskiej pugilaresu, w którym znajdowało się 45 zł.

Rozprawie przewodniczył radzca sądu Majewski, oskarżał zastępca prokuratora Piwocki, na ławie przysięgłych zasiada sześciu chrześcijan i sześciu żydów.

Dawid Förster, dobrze znany policyi lwowskiej dwudziestoośmioletni młodzieniec, występuje na „arenie publicznej“—jak stwierdził p. prokurator— już od lat piętnastu, gdyż pierwszy jego „występ kieszonkowy“ nosi datę r. 1878. Do dnia dzisiejszego Förster był oddawany sądom powiatowym i karnym ni mniej ni więcej tylko 78 razy, za kradzieże kieszonkowe, włóczęgostwo, hazardowną grę w karty itp. a za kratami spędził według obliczenia p. prokuratora lat przeszło siedm. Ostatni raz jako nałogowego rzezimieszka skazał go sąd przysięgłych w r. 1889 na trzy lata więzienia. Karę tę odsiedział i d. 11 września 1892 r. wypuszczono go na wolność. Policya jednak rozciągnęła nad nim dozór, który zapewne i nadal trwać będzie. Poszkodowana, p. Józefa Maszkowska, przy kilkakrotnem badaniu nabrała przekonania, iż przedstawiony jej Dawid Förster jest sprawcą kradzieży pugilaresu w dniu 15 listopada 1892 r.

Do rozprawy oprócz poszkodowanej — p. Maszkowskiej—zawezwano jedenastu świadków, których zeznania wypadły nie bardzo na korzyść oskarżonego i zbijały jego własne zeznania. W czasie procesu oskarżony mieszał się, a w czasie przesłuchiwania ajentów policyjnych pozwalał sobie na zjadliwo-humorystyczne uwagi, posyłane pod ich adresem. Widocznie był pewnym swego.

Po przesłuchaniu świadków przemawiał dwukrotnie prokurator p. Piwocki i scharakteryzowawszy dosadnie dotychczasową działalność Förstera, udowodnił, iż on a nie kto inny mógł się dopuścić kradzieży pugilaresu pani Maszkowskiej; odwoławszy się do sumienia i poczucia sprawiedliwości sędziów przysięgłych prosił o ukaranie winnego. Po resumé przewodniczącego udali się sędziowie przysięgli na naradę, i po upływie prawie godziny wynieśli werdykt, uwalniający Dawida Förstera od oskarżenia. Sześć głosów stwierdzało winę, sześć zaś przeczyło jej, skutkiem czego według procedury sądowej austryackiej Dawid Förster 28-letni obiecujący młodzieniec został znowu po siedmiomiesięcznem śledztwie puszczony na wolność.

W niedzielę 28 b. m. urządzają technicy festyn na górze zamkowej. Komitet dołożył wszelkich starań, aby go jak najbardziej uprzyjemnić. Dwie muzyki, wojskowa 30 pp. pod osobistem kierownictwem swego kapelmistrza, a druga „Harmonia“ będą przygrywały; o zmroku oświetlenie elektryczne. Loterya fantowa bogato uposażona, koło szczęścia, muzeum starożytności, obraz z żywych osób, chór techników, będą dopełniały nadzwyczaj bogatego programu. Podczas festynu wyjdzie illustrowana jednodniówka, do której nasi literaci nadesłali kilka perełek, między innemi p. Aureli Urbański piękny wiersz zatytułowany „Młodzieży technickiej polskiej“. Również i p. Wroński przysłał technikom swój najnowszy utwór: „Marsz techników lwowskich“, który publiczność nasza pierwszy raz na festynie usłyszeć będzie miała sposobność, na festynie będą sprzedawane także nuty do tego marszu po 30 ct. a od niedzieli we wszystkich księgarniach po 40 ct., czysty dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na rzecz „Bratniej pomocy“. Wstęp na festyn od osoby 20 ct., cena losu na loteryę fantową 10 ct. Sądzimy, że publiczność nasza tłumnie na ten festyn pospieszy już ze względu na dobroczynny cel.

Zmarli. Aleksander Kwiatkowski, autoryzowany geometra, umarł w Podgórzu, w 45 roku życia. — W Grabowczyku, w powiecie hrubieszowskim, umarła Marya z Popielów Czachowska, matka znanego malarza. — Franciszek Kopetschny, emerytowany dyrektor hut w Suchej, umarł w Makowie, w 67 roku życia.

Stan powietrza. Termometr + 13° Reaumura o godzinie 7 zrana, a w południe + 16° Reaumura. Barometr 762. Spada. Dzień pochmurny. Deszcz padał obficie w nocy.

W szkole.

Nauczyciel. — Co się dzieje z tymi, którzy kradną?

Uczeń. — Wyjeżdżają do Ameryki.

Między dramaturgami

— Dziś po obiedzie urządziłem sobie drzemkę i spałem dwie całe godziny.

— To tak mniej więcej trzy akta.

Teatr. Dziś we czwartek: „Pajace“, opera w dwóch aktach R. Leoncavalla. Przedstawienie rozpocznie: „Lolota“, komedya w 1 akcie Meilhaca i Halevy'ego. — Jutro w piątek po raz drugi: „Podróż na wschód“, komedya w 3 aktach Blumenthala i Kadelburga.

Dalsze ofiary na rzecz restauracyi kościoła OO. Bernardynów w Leżajsku złożyli:

Ks. biskup Solecki 50 zł., P. Peszkowski ze Skawiny 25, ks. dr. Bilczewski 20, Tercyarze św. Franciszka z Tarnopola 2, O. R. W. 20 marek, K. Cieśliński z Nowego Sącza 5 zł., Tomasz Garlicki z Brzeżan 5, Katarzyna Heindl ze Lwowa 5, Emilia Grzywaczewska ze Lwowa 3, N. N. z Bolęcina 5, ks. Kisielewicz z Ameryki 10, Marya Uzarska z Krakowa 1, ks. L. T. z Krakowa 1, M. M. z Dąbrowicy 100, N. N. z Gniewczyny 90, Roch Krośnieński z Krakowa 1, Kamil Kublin ze Lwowa 1, Helena Wernerowa polecając dzieci opiece Matki cudownej 1, Walenty Kozioł 6, N. N. 50, I. M. 70, Zofia Acht z Chocimierza 1 zł.

Podając do publicznej wiadomości łaskawie złożone ofiary, czuje się konwent obowiązanym P. T. dobrodziejom przesłać jak najserdeczniejsze podziękowanie i uprasza o dalszą pomoc w zamierzonem a tak trudnem dziele dla chwały bożej i czci Najśw. Panny Maryi podjętem.

Łukasz Dankiewicz
gwardyan.

Leżajsk 8 maja.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** „Podróż na wschód“, krotochwila w 3 aktach Blumentala i Kadelburga. Pan Robert Fiedler udaje się z żoną Henryką do Adryanopola po kwiaty do perfum i w tym celu kupuje bilety okrężne do pociągu błyskawicznego. Pani Henryka namyśla się w Dreźnie i powraca do domu, zabierając z pensyi siostrę swoją Teę. Fabrykant zaś, nie chcąc stracić pieniędzy wydanych na bilet dla żony, postanawia go sprzedać za pośrednictwem portyera hotelowego. Bilet ten nabywa młoda i przystojna malarka Sara Bertholdy, którą wcale dobrze grała panna Sznażanka. Ponieważ jednak według przepisów kolejowych bilet służy wyłącznie osobie na nim wymienionej, przeto panna Sara musi z konieczności udawać żonę Fiedlera. W Turcyi pociąg wpada w ręce bandytów, a wieść o tem lotem błyskawicy rozchodzi się po świecie. Pomiędzy schwytanymi wymieniony jest Henryk Fiedler z żoną. W domu Herbiga, teścia Fiedlera, powstaje zamęt nie do opisania. Zkąd się wzięła żona fabrykanta w Turcyi, skoro ona bawi w Berlinie? Na naradzie familijnej, w której rej wodzi naturalnie teściowa, postanowiono, aby Henryka udała się naprzeciw męża i powróciła z nim razem do Berlina, przez co uchroni reputacyę męża od złych języków. Tak się też i dzieje. Małżeństwo powraca razem, a na głowę zięcia spadają gromy jeden do drugim. Rodzina radzcy Herbiga jest przekonaną, że zięć nadużył zaufania żony i nie szczędzi mu przykrości na każdym kroku. Zjawia się wreszcie i towarzysz podróży Fiedlera, niejaki Dymitr Mitrowicz i Sara Bertholdy i rzecz się wyjaśnia: pan małżonek wychodzi czystym jak bursztyn.

Oprócz wyżej wymienionych osób widzimy jeszcze parę zakochanych, konsula i reportera, z których ten ostatni dopomaga w akcie trzecim do rozwikłania intrygi.

Sztuka była graną w ogóle słabo, tempo gry było za powolne, ztąd też niektóre nawet dosyć dowcipne sytuacye przeszły bez wrażenia. Dowcipem lekkim, eleganckim „Podróż na wschód“ się nie odznacza, czuć na niej ciążący sentymentalizm niemiecki, chociaż dobrze grana mogłaby zadowolnić mniej wybrednych widzów.

Z grających na wyszczególnienie zasługuje p. Kliszewski, który jeden umiał rolę doskonale na pamięć.

Teatr był pusty.

* **Polski socyalizm a cudzoziemszczyzna,** skreślił X. Bronisław Stysiński. (Do nabycia u Seyfarta i Czaykowskiego po cenie 30 ct.)

Jestto wierne zwierciadło zasad, ducha i tendencyi naszego socyalizmu, bezstronnie a źródłowo opracowane. Styl barwny, logiczna argumentacya, dowody przekonywujące faktami, zalecają tę książeczkę każdemu, kto nie jest obojętnym dla jednej z najważniejszych kwestyi naszego stulecia.

Sport.

Wyścigi konne w Budapeszcie.

Pierwszy dzień wyścigów w Budapeszcie 7go maja obejmował w swoim programie nagrodę „Nemzeti-Hazafi“ (ojczystą i patryotyczną), którą Węgrzy z dumą nazywają: „Derby węgierskiem“, chociaż meta w tym biegu jest o 800 metrów krótszą, niż w biegach „Derby, na całym świecie. Zawsze jednak jest to najznaczniejszy w Węgrzech bieg wiosenny dla koni trzyletnich, a tak jak Trial Stakes rzuca światło na szanse wygrania Derby dla koni austro-węgierskich w ogóle, tak „Nemzeti-Hazafi“ rozjaśnia poglądy na konie specyalnie węgierskie, bo tylko koniom w Węgrzech urodzonym wolno brać udział w tym biegu.

Od roku 1868, pięć razy zdarzyło się, że koń w tym biegu zwycięzki, wygrał też i Derby wiedeńskie. W tym roku przy prześlicznej pogodzie, niezliczone tłumy wyległy na tor w „lasku miejskim“ (Varos-liget), wyścig sam jednak bardzo mało był zajmujący. Ze 115 mianowanych koni, stanęły do walki tylko 2: P. M. v. Blaskovits'a og. gn. 3 l. „Clifford“ po Gunnersbury od Cabale 1; Br. G. Podmaniczky og. kaszt. 3 l. „Vocativus“ 2. Nagroda wynosi 15.000 franków w złocie dla zwycięzcy, a 1000 franków dla drugiego konia; meta 1600 mtr. „Clifford“ wygrał z łatwością o 3 długości konia, a że zwycięztwo to wcale nie było niespodzianką, tego najlepszym dowodem, że totalizator płacił tylko 6 zł. za 5; ponieważ jednak przedtem „Clifford“ wygrał Trial Stakes w Wiedniu, stał się dziś odrazu „faworytem“, tj. koniem, na którego trzymają najwyższe zakłady na Derby wiedeńskiem.

Drugim ważniejszym biegiem tego dnia był: Handicap majowy; nagroda 3000 złr., meta 950 metrów; biegało koni 6: Hr. A. Henckla og. gn. 3 l. „Cerberus“ po Pancake od Camilla 1. Br. Z. Uechtritza og kaszt. 3 l. „Or-clean“ 2.

„Nagroda pamiątkowa jenerała Ritter v. Waljemare“ (Ritter-Preis) 200 dukatów; meta 2800 metrów; biegało koni 3: Hr. E. Batthyany'ego og. gn. 4 l. „Eikonogen“ po Arcadian od Jauerling 1. P. N. v. Blaskovitsa og. gn. 3 l. „Csatlos“ 2.

Drugiego dnia wyścigów w Budapeszcie 9go maja o „nagrodę Dam“ 670 dukatów, z których nagroda honorowa 250 dukatów a reszta gotówką, meta 2400 metrów; stanęły do walki cztery konie pod panami. Bar. L. Erlangera kl. gn. 3 letnia „Daphne“ po Ruperra od Dreamland, jeździec rotmistrz A. v. Miklos 1. Hr. Z. Kinsky'ego og. gn. 3 l. „Korszak“, jeździec rotm. hr. Schenk 2.

„Nagroda rządowa“ 3000 franków w złocie; meta 2000 mtr. Br. G. Podmaniczky og. kaszt. 3 l. „Vocativus“ po Waisenknabe od Conflagration 1 O drugie miejsce og. gn. 3 letni „Velocipede“ hr. Laury Hencklowej i hr. B. Zichy kl. kasztanow. „Glennie“, zrobiły tak zwany martwy bieg, tj. przybyły razem. Więcej koni nie biegało.

O nagrodę „Batthyany-Hunyady“ wstąpiły w szranki 4 konie; nagroda 400 dukatów, meta 1600 mtr. P. A. Drehera og. gn. 4 l. „Trick Track“ po Verneuil od Tittle Tattle 1. Hr. Z. Kinsky'ego kl. gu. 3 l. „Märchen“ 2.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 23 maja.

(*Z*). Dwudniowa przerwa świąteczna nie wywarła żadnego dodatniego wpływu na giełdę, przeciwnie, spotęgowała jeszcze apatyę, która z końcem ubiegłego tygodnia rozpanoszyła się na naszym targu. Pomimo skrzętnej agitacyi potężnych firm nie zdołały papiery bankowe ani na włos podnieść się, lecz spadały dalej aczkolwiek zwolna. W południe nadeszła wiadomość, że bank Hermana Hessleina w Bambergu zbankrutował, a jeden z jego spólników targnął się na swe życie. Bank ten utrzymywał stosunki z kilku naszemi firmami, to też wiadomość o jego bankructwie wywołała bardzo niekorzystne wrażenie. W rezultacie obniżył się kurs wszystkich walorów bankowych, tylko jedne Länderbanki podtrzymuje konwersya listów galic. Towarzystwa kredytowego ziemskiego. — Na targu walorów kolejowych panowało dziś niezdecydowane usposobienie, z jednej strony bowiem oddziaływały nań niekorzystnie liche widoki na żniwa tegoroczne, z drugiej strony zaś olbrzymia frekwencya podróżnych w czasie Zielonych świąt stanowiła pewną podporę. Na targu papierów przemysłowych i górniczych była kompletna stagnacya. Monety złote znów podrożały. Dziś rozpoczęła się likwidacya miesięczna na naszym targu. Zapowiada się ona dosyć trudno i już dziś eskont prywatny znacznie się podniósł. W Berlinie poszły ruble w górę.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 333·25, węgierskie 388·—, Anglobanki 149·50, Uniony 252·75, Bankvereiny 121·30, Länderbanki 253·30, Ludwiki 217·50, Czerniowieckie 255·—, Renta papierowa 97·65, srebrna 97·40, austryacka złota 117·10, 4% austr. renta wal. kor. 96·25, węgierska złota 115·—, 4% węgierska renta wal. kor. 94·35, dukat 5·80, 20-frankówka 9·81—, marki 12·05—, ruble 1·28—.

§ **Sprawozdanie o administracyi kolei państwowych w r. 1892.** Nakładem jeneralnej Dyrekcyi kolei państwowych w Wiedniu wyszła spora księga, zawierająca jak najdokładniejszy obraz działalności kolei państwowych w roku ubiegłym. Sieć kolei państwowych powiększoną została w tym roku znacznie przez upaństwowienie kolei Karola Ludwika tak, że wynosiła ona z końcem roku 1892 8.025 kilometrów. Pod względem finansowym był rok ten dla kolei państwowych niepomyślnym, dochody ich bowiem preliminowane w budżecie na 71,949.600 zł., wynosiły w rzeczywistości tylko 67,667.790 zł.

Powodem tego ubytku dochodów były głównie niekorzystne konjunktury handlowe i zmniejszenie się eksportu. Park pociągowy kolei państwowych składał się z końcem roku 1892 z 1.632 lokomotyw, 3.765 wagonów osobowych, 1.102 pocztowych, 30.093 towarowych i 71 pługów do odgartywania śniegu. — Po wszystkich torach austryackich kolei państwowych przebiegło w ciągu całego roku 1892go 526.739 pociągów, a ogólna długość drogi przez nie zrobionej wynosi 37,513.178 kilometrów. Kapitał włożony we wszystkie koleje będące dziś własnością państwa, przedstawia wartość 928,808.459 zł. Dla każdego, kto zajmuje się sprawami kolejowemi, tudzież statystyką kolejnictwa jest wspomniane na wstępie sprawozdanie jeneralnej dyrekcyi prawdziwą skarbnicą, tak bowiem dokładnie zestawione jest w niem wszystko, co tylko odnosi się do ruchu na kolejach państwowych.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 4708 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 1158 sztuk opasowych i 139 chudych. Ogółem zatem przypędzono o 588 więcej niż w zeszłym tygodniu. Nie sprzedano 258 sztuk.

Płacono: galicyjskie 49 do 60·00 zł., węgierskie 49—61·00 zł., z innych krajów koronnych 50 do 63·00 zł., krowy 23—30·00 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 46 do 103 zł. za sztukę.

§ **Targ na nierogaciznę.** Na wtorkowy targ w Wiedniu dowieziono 2400 sztuk galicyjskiej żywej nierogacizny, płacono 33—38 zł. za towar przedni 38—40 zł. za 100 kilo żywej wagi.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 25 maja. *Polit. Corr.* donosi, że Cesarz ratyfikował międzynarodową konwencyę sanitarną zawartą w Dreźnie.

Na wczorajszej radzie ministrów obradowano nad ostatniemi zajściami w sejmie czeskim. Między innemi rozbierano wszechstronnie kwestyę jurydyczną, czy ostatnią burdę wyprawioną przez młodoczechów uważać należy za taki występek, który podpada pod ochronę nietykalności poselskiej, czy też da się do niego zastósować § 76 kodeksu karnego, który orzeka, że zbrodni gwałtu publicznego dopuszcza się każdy, kto w sposób gwałtowny zakłóca obrady zgromadzenia zwołanego przez rząd dla załatwiania spraw publicznych. Zbrodnia ta wedle kodeksu podpada karze ciężkiego więzienia od roku do pięciu lat.

Ostatecznej decyzyi w tej mierze nie powzięto jeszcze. (Możliwość pociągnięcia młodoczeskich posłów do odpowiedzialności sądowej za wyprawioną przez nich awanturę, rozbierają na seryo sfery polityczne i prawnicze. Jako argument przemawiający za wytoczeniem młodoczeskim awanturnikom oskarżenia przytaczają przedewszystkiem to, że poniszczyli oni wiele sprzętów w sali sejmowej, mianowicie tłukąc kałamarze poplamili atramentem dywany, fotele i pulpity, nadto mnóstwo mebli połamali, a takie postępowanie nie miało najmniejszego związku z wykonywaniem obowiązku poselskiego, nadto tę okoliczność, że w sposób gwałtowny przeszkodzili oni sejmowi dalej obradować. W ogóle przeważa zdanie, że czyn młodoczeskich posłów zgadza się na jotę z przepisami §. 76 ust. karnej).

Minister oświaty br. Gautsch przyjmował wczoraj wieczorem członków obradującego tu kongresu filologów.

Petersburg 25 maja. Rodzina carska przejechała wczoraj przez Charków, a dziś przybędzie do Moskwy.

Słowiańskie towarzystwo dobroczynności obchodziło wczoraj jubileusz 25-letniego istnienia. Telegramy gratulacyjne nadesłali: czarnogórski następca tronu, metropolici serbski i czarnogórski, tudzież rozmaite stowarzyszenia. Mowę jubileuszową miał Ignatiew. Według *Gońca urzędowego* wynosi kapitał zakładowy tego towarzystwa 108.695; a kapitał rezerwowy 104.165 rubli.

Wiedeń 25 maja. Delegacye wspólne zebrały się dziś. Przedłożony im preliminarz wydatków wspólnych na rok 1894 wykazuje po strąceniu nadwyżki dochodów cłowych w sumie 4,437.180 złr., ogólne wydatki w kwocie 100,878.320 złr., a zatem o 4,104.106 złr. więcej aniżeli w roku ubiegłym. Zwyczajne wydatki wojskowe wzrosły o 5,276.800 złr., nadzwyczajnie zaś zmniejszyły się o 1,274.800 złr. a zatem ostateczne powiększenie wydatków na wojsko wynosi 4,002.000 złr.

Bruksela 25 maja. Kongres robotników górniczych przyjął rezolucyę, żądającą zaprowadzenia ośmiogodzinnego dnia roboczego i zniesienia roboty kobiecej w kopalniach.

Ateny 24 maja. Wczoraj było ponowne trzęsienie ziemi w Tebach.

Chicago 25 maja. Komitet wystawy uchwalił otwierać wystawę w niedziele.

Rzym 25 maja. Król przyjął jedynie dymisyę ministra sprawiedliwości Bonacciego, nie przyjął zaś dymisyi innych członków gabinetu. — Senator Eula zamianowany został ministrem sprawiedliwości, a senator Gagliardo ministrem finansów.

Budapeszt 25 maja. W wielu okolicach Węgier spadł deszcz obfity.

Bukareszt 25 maja. Królowa serbska Natalia przybyła tu wczoraj. Na dworcu powitał ją król Karol.

Tirnowa 25 maja. Wielkiemu sobraniu przedłożono już wszystkie projekta, odnoszące się do zmiany konstytucyi. Sobranie zgodziło się na nie w zasadzie. Uchwaliło ono także adres do tronu, będący odpowiedzią na mowę tronową księcia. W adresie tym zapewnia przedewszystkiem sobranie księcia o lojalnych uczuciach ludności i wyraża księciu i rządowi podziękowanie za wzorową obronę interesów narodowych. Następnie podnosi adres, że małżeństwo księcia napełniło wszystkich Bułgarów najwyższą radością, gdyż jest ono wałem ochronnym przeciw wszelkiego rodzaju atakom na samodzielność i niepodległość Bułgaryi. W końcu zawiera adres zapewnienie, że reprezentanci narodu uznają ważność zmiany konstytucyi i dołożą wszystkich starań, aby gruntownie zbadać przedłożone projekty ustaw, które mają na celu dobro i przyszłość kraju i tronu.

Wiedeń 25 maja. Ogólne zamknięcie rachunków w r. 1891 wykazuje wynik ogólny niekorzystniejszy o 3,367.080 złr. Z tej kwoty wydatki na wojsko wyniosły 3,104.887 złr. więcej niż preliminowano, a wydatki na marynarkę o 236.655 złr. więcej. Podwyżki te zostały umotywowane głównie podniesieniem się ceny wiktuałów, co w samej żywności wyniosło 812.694 zł. więcej niż przewidywano.

W marynarce zaś podniesienie się ceny robocizny wywołało nadwyżkę wydatków na 191.258 zł. Zamknięcie rachunkowe za r. 1892 wykazuje nadwyżkę z ceł w kwocie 47,283.114 złr., co było korzystniejszem niż preliminowano o kwotę 7,127.934 zł.

Wiedeń 25 maja. Na wstępie objaśnienia preliminarza budżetu ministerstwa wojny zawartą jest odpowiedź na zeszłoroczną rezolucyę, izby żołnierzom dawano ciepłą wieczerzę. Sprawa ta jakkolwiek ze wszech miar pożądana nie może być obecnie urzeczywistnioną ze względu na finanse państwa, urzeczywistnienie jej trzeba pozostawić przyszłości. Nie uwzględniono także życzenia o utworzenie akademii wojskowej w Węgrzech, gdyż nie ma nieodzownej konieczności zakładania jej.

W preliminarzu nadzwyczajnych wydatków wstawiono między innemi kwotę 1,400.000 jako czwartą ratę na zakupno karabinów repetirowych, kwotę 2 miliony jako czwartą ratę na proch bezdymny i 300.000 złr. na zaopatrzenie niektórych fortec w działa najnowszego kalibru.

Kwotę 840.000 wstawiono jako koszta podwyższenia stanu pokojowego kompanii w 50 pułkach piechoty, na budowle forteczne wstawiono 1,450.000 zł., na budowę laboratoryum artylerzyckiego w Krakowie 12.000 zł., na budowę magazynu środków wybuchowych w Jarosławiu 11.000 zł., na budowę magazynu prowiantowego w Złoczowie 85.000 zł. i na budowę ujeżdżalni w Przemyślu 8.000 zł.

Sofia 25 maja. W sferach kompetentnych mówią, że sobranie zamknięte zostanie we wtorek. Książę powróci tu 31 maja.

Moskwa 25 maja. Rodzina carska przybyła tutaj.

Przyjechali do Lwowa

dnia 25 maja 1893.

HOTEL FRANCUSKI. A. Żelechowska z Hrehorowa. K. Marmoross z Karowa. A. Wybranowski z Czupernosowa. K. Bastgen z Romanowa. Z. Sapalska z Warszawy. M. Youngowa z Porzycza. A. Suchecka ze Skwarzawy. Dr. M. Rosenstok ze Skałatu. F. Protiwinsky z Wolfsbergu. W. Widrich z Wiednia. W. Becher i E. Bloch z Wiednia. A. Scheufler z Przemyśla.

HOTEL IMPERIAL. Hr. Zichy z Pesztu. W. hr. Romer z Borowa. O. Borkowska z Ponikwy. M. Jabłonowska z Wereszczanki. St. Chłapowski z Poznania. O. Strzembosz z Żytomierza. G. Tarnonczy z Pesztu. Dr. Zuckerkandl z Wiednia. S. Potworowski z Koropiec. H. Weiser z Sassowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 25 Maja godz. 2. min.

Akcye kred.	333·75	Galicyj. obligi propinacyjne	97.50
Alpiny	52.80	Wied. losy	175·50
Kredyty węg.	388·50	Akcye tyton.	182.50
Anglobanki	149·25	4% Poż. kraj. z r. 1893	96.10
Uniony	252·50	Elbethale	236·—
Ludwiki	217·50	Landerbanki	252·—
Nordbany	294·50	Renta zł. węg.	115·—
Lombardy	97·75	Bankvereiny	121·75
Losy tureckie	50·20	Węg. renta p.	94·25
Staatsbahny	305·25	Ruble	129·—
Czerniowieckie	255·—		

Usposobienie słabe.

Lwów. Z Izby handlowej 25 Maja 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	216	50	219	50
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	256	—	259	—
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	370	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% los. w lat. 40	101	10	101	80
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	110	15	110	85
Banku hip. 4½% wa. los w 50 lat.	100	—	10[illegible]	70
Banku krajowego 4½% wa.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	—	98	70
„ „ „ 4% „ 41	97	—	97	70
„ „ „ 4½% „ 52 lat	100	60	101	30
„ „ „ 4% „ 6 lat.	97	—	—	—
4. Obligi za 100 zł.				
Galic. fund. propinacyjnego 4%	97	30	98	—
Bukow. fund. propin. 5% w. a	103	—	—	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. II em.	102	25	—	—
Pożyczka kraj. 6%	105	—	—	—
„ „ 4½%	10[illegible]	50	—	—
„ „ 4%	96	—	—	—
„ „ 4% koronna	96	—	96	70
[illegible]				
Losy miasta Krakowa	3	—	[illegible]5	—
„ „ Stanisławowa	36	—	39	—
6. [illegible]				
Dukat holenderski	5.75		5.85	
Napoleondor	9.75		9.85	
Półimperyał rosyjski	9.90		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	1.28—		1.31—	
„ „ papierowy	1.28½		1·29½	
100 marek niemieckich	60·15		—60·60	

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

To tylko wiem, że kiedy wieczorem dnia tego zeszłam na dół na kolacyę, usłyszałam, jak jedna z moich koleżanek szepnęła do drugiej:

— Patrz, jakie Barbara ma zaczerwienione oczy. Widocznie płakała, biedaczka. I to w taki dzień jeszcze! Ten nieznajomy pan z Anglii musiał jej przywieźć złe wiadomości z domu.

ROZDZIAŁ XXV.

Po skończonym konkursie miasteczko nasze wróciło do dawnego spokoju. Król wirtemberski wyjechał z wielką paradą, czterokonną karetą, poprzedzoną lauframi; inni dostojni goście też się rozjechali, z wyjątkiem tych, którzy pozostali, aby pić wody. Obrazy i rzeźby wróciły na dawne miejsca; teatr przepełniony co wieczór ostatniemi czasy, ogłosił dwa tylko przedstawienia tygodniowo, a hotele się wypróżniły. W akademii zapanowała cisza i niezwykły spokój. Wszyscy, z małemi wyjątkami, rozjeżdżali się na wakacye. Hortensya, Ida Sachs i ja należałyśmy zawsze do tych, które zostawały w miejscu. Dziś, gdy ubyła jeszcze moja siostra, wielki gmach akademicki wydał mi się bardziej pustym niż kiedykolwiek. Gdyby nie Hugon, dzień mojego tryumfu byłby zaiste smutnym dniem dla mnie.

A jednak był to istny tryumf i serce moje wzbierało radością, gdy wieczorem dnia tego towarzyszki moje otoczyły mnie zewsząd, winszując gorąco i prosząc, abym im pokazała medal, mój piękny, złoty medal, zamknięty w safianowem pudełku, wysłanem aksamitem. Idąc spać, schowałam go pod poduszkę, aby spojrzeć na niego nazajutrz, zaledwie oczy otworzę.

— Będziesz teraz mianowana podprofesorką, Barbaro — mówiła jedna z moich koleżanek.

— I otrzymasz wyższy patent wraz z listem pochwalnym po ukończeniu kursów — dorzuciła druga.

— I będziesz siedziała po prawej stronie pani Brenner w kościele i w refektarzu — zazdrościła trzecia.

Wszystkie te przepowiednie ziściły się; tego samego wieczora bowiem, przy wieczerzy zainstalowano mnie na honorowem miejscu, a nazajutrz otrzymałam nominacyę na nauczycielkę, z rocznem wynagrodzeniem dwustu florenów. Nie na tem jednak koniec. Nieubłagany, wymagający, surowy i nieprzystępny profesor Metz, który nigdy nikogo nie pochwalił i nie użalił się nad nami, pewnego dnia uprzejmie wezwał mnie do swojej pracowni i oświadczył mi, iż zamierza podczas wakacyj zasięgnąć mojej pomocy w malowaniu al fresco ścian nowego letniego pawilonu wielkiego księcia. Wyznaję, że to wyszczególnienie i oznaka zaufania mego mistrza pochlebiły mi bardzo. Napisałam zaraz do Hortensyi, donosząc jej o mojem powodzeniu, ale sama nie wiem dlaczego opisując jej z wszelkiemi szczegółami pamiętny dzień konkursu, pominęłam zupełnie wzmiankę o Hugonie Farguharze.

Wszystkie już prawie uczennice powyjeżdżały i dom opróżnił się do połowy, gdy nazajutrz Hugon przyszedł znowu mnie odwiedzić. Pani Brenner, która była nieco zgorszona jego zachowaniem się podczas pierwszej bytności, przyjęła go tym razem w prywatnym swoim saloniku i dotrzymywała nam towarzystwa aż do końca wizyty. Gdy wyszedł, rzekła do mnie:

— Twój przyjaciel jest bardzo oryginalnym. Powiedz mi, proszę, czy to jego zwyczaj wychodzić zawsze przez okno, zamiast przez drzwi?

— Podróżował wiele w życiu — odparłam. — Jest więc nieco ekscentryczny i...

— Czy dawno go znasz?

— Od dziecka.

— Czy ma jaki fach... jaką specyalność?

— Jest on właścicielem ziemskim, bardzo bogatym właścicielem rozległych posiadłości w Anglii; przytem znakomity znawca sztuk pięknych.

— To zaraz można poznać — odparła pani Brenner. — Sądząc z rozmowy, wzięłam go za malarza.

Tu rozmowa nasza przerwała się. Przełożona widocznie powzięła niejakie wątpliwości co do osoby mego gościa. Nie mogła zgoła pojąć, żeby ktoś biegał po pokoju wtedy, gdy mógł spokojnie siedzieć w krześle; żeby wyskakiwał przez okno jak akrobata, zamiast wyjść przez drzwi; żeby jeździł po świecie, tułając się po obcych miejscach wtedy, gdy mógł wygodnie mieszkać w swoim własnym, zbytkownie urządzonym pałacu. Jego mowa, zachowanie, sposób myślenia stawały w ciągłej sprzeczności z jej zapatrywaniami i pojęciem o angielskiem *decorum*. To też odtąd poczytywała sobie za obowiązek sumienia asystować przy wszystkich jego wizytach.

Pewnego dnia jednak, idąc przez ulicę, spotkałyśmy dwór książęcy, udający się na spacer, i Hugona, jadącego obok wielkiego księcia, zajętego ożywioną rozmową ze swoim gościem. Spostrzegłszy nas, zdjął kapelusz i ukłonił się najpierw przełożonej, a potem mnie. Zauważyłam, że ta atencya bardzo pochlebiła pani Brenner.

— Twój przyjaciel zajmuje widocznie wysokie stanowisko w świecie? — spytała skwapliwie, gdy dworska świta zniknęła nam z oczu.

— Nie, pani — odparłam. — Pochodzi on tylko z bardzo starożytnej rodziny.

— I zapewne bardzo bogatej?

— Nie tak znów bardzo bogatej, jak na angielskiego właściciela ziemskiego. Ma około stu pięćdziesięciu tysięcy florenów rocznego dochodu.

Była to drobna złośliwość z mojej strony, gdyż wiedziałam, że dochody wielkiego księcia nie wynoszą i połowy tej sumy. Biedna pani Brenner, zbita z tonu, szepnęła miękko: Mój Boże! i zamilkła, wydając na srodze zakłopotaną.

W parę dni potem, jedna z panienek pokazała mi nazwisko Hugona Farguhara, z dodatkiem: Jego ekscelencya, wydrukowane na liście gości, zaproszonych na dworski obiad.

— To musi być jakiś wielki człowiek — rzekła z podziwem.

— Jest to niepospolity człowiek w każdym razie — odparłam. — Objechał dokoła świat cały, mówi wszystkiemi językami, ma wierzchowca, który przyklęka, kiedy pan go dosiada, i kamerdynera Indyanina, który uratował mu życie, zagrożone ukąszeniem jadowitego węża. Posiada rezydencyę cztery razy większą od pałacu wielkiego księcia i park obszerniejszy od Brühlowskiego lasu, a kilka lat temu nabył na własność obraz Pawła Werończyka, za który zapłacił trzydzieści tysięcy florenów.

— *Wunderbar!* I pomimo wszystkiego nie nosi żadnego tytułu?

— Żadnego.

— Jak to! Nie jest nawet tajnym radzcą?

— Nawet i to nie, moja droga. Jest sobie poprostu zwyczajnym angielskim dżentlemanem i niczem więcej.

Nie uważałam za potrzebne dodać, że w naszem narodowem angielskiem przekonaniu ten tytuł zastępował wszystkie inne głośniej brzmiące. Wszystkie te wiadomości, podane z ust do ust, ogromne wrażenie wywarły w akademii. Uczennice, które nie wyjechały na wakacye, nie przestawały ciekawie dopytywać mnie o mego przyjaciela, a każde moje słowo, z przesadą właściwą młodym umysłom, powtarzały pani Brenner, która ze spokojnem zdumieniem komunikowała je znowu profesorom, ci zaś roznosili je po mieście, tak, że Hugon został bohaterem dnia i zaczął w opinii ogółu uchodzić za drugiego Monte Christo. Tymczasem odblask jego sławy spadł na mnie i spostrzegłam, że moje koleżanki szacowały mnie za mego przyjaciela nierównie więcej, aniżeli za mój medal. Tymczasem odwiedziny jego stawały się coraz rzadsze. Czasami spotykałam go idącego do czytelni z książką w ręku; czasem znów widywałam jego konia i grooma, czekającego przed bramą hotelu. Pewnego dnia zjawił się z pozwoleniem zwiedzenia akademii, poczem pani Brenner, której szacunek i zakłopotanie wzrastały z każdym dniem, oświadczyła mi, że jego ekscelencya był istotnie nadzwyczajnym jakimś człowiekiem i nadzwyczajne spostrzeżenia i uwagi robił o wszystkiem, co widział.

ROZDZIAŁ XXVI.

Letni pawilon wielkiego księcia zbudowany był według wzoru i kształtu słynnego Casino Rospigliosi. Fronton był przyozdobiony gustownemi płaskorzeźbami, a wnętrze podzielone na kompartymenta, wypełnione naprzemian taflami zwierciadlanemi i obrazami. Stare malowidła, nie przedstawiające żadnej artystycznej wartości, zostały usunięte, a profesor Metz zastępował je malowniczemi scenami i krajobrazami Niemiec. Szkicował on szeroko każdy obraz, a potem kazał mi wykonywać go według oryginalnego planu. Na ostatku dopiero wykończał go własnoręcznie. Tym sposobem robota postępowała szybko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. — Papier braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.